

NIEBO ZAKŁĘĆ

KSIEGA 9
KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA

MORGAN RICE



Kręgu Czarnoksiężnika

Morgan Rice

Niebie Zaklęć

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Niebie Zaklęć / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,
— (Kręgu Czarnoksiężnika)

Thorgrin w końcu dochodzi do siebie i musi raz na zawsze rozprawić się ze swym ojcem. Rozgrywa się epokowa bitwa, gdy dwóch tytanów staje naprzeciw siebie, a Rafi za pomocą swych mocy przyzywa armię nieumarłych. Po zniszczeniu Miecza Przeznaczenia, gdy ważą się losy Kręgu, Argon i Alistair będą zmuszeni przyzwać swe magiczne moce, by pomóc dzielnym wojownikom Gwendolyn. Jednak nawet ich pomoc nie na wiele by się zdała, gdyby nie powrót Mycoples i jej nowego kompana, Ralibara. Schwytała przez Romulusa Luanda usiłuje go pokonać, podczas gdy ważą się losy Tarczy. Tymczasem Reece z pomocą Selese usiłuje poprowadzić swych ludzi z powrotem w górę Kanionu. Ich uczucie pogłębia się, lecz wraz z pojawieniem się dawnej miłości Reece'a, jego kuzynki, rodzą się nieporozumienia i tragiczny trójkąt miłosny. W Kręgu panuje wielka radość, gdy Imperium zostaje ostatecznie z niego wypchnięte, a Gwendolyn zyskuje szansę, by zemścić się na McCloudzie. Jako nowa królowa Kręgu Gwen używa swej władzy, by po raz pierwszy w historii zjednoczyć MacGilów i McCloudów oraz rozpocząć niełatwą odbudowę królestwa, armii i Legionu. Królewski Dwór powoli rodzi się na nowo, gdy wszyscy pomagają w odbudowie. Przeznaczone mu jest stać się nawet wspanialszym grodem, niż wyśnił sobie jej ojciec, a w trakcie odbudowy sprawiedliwość w końcu dosięga Garetha. Także Tirus trafia w ręce sprawiedliwości i Gwen musi podjąć decyzję, jakiego rodzaju przywódczynią chce być. Między synami Tirusa rodzi się wielki konflikt, kiedy okazuje się, że nie każdy z nich w ten sam sposób patrzy na świat, i raz jeszcze wybucha walka o władzę, gdy Gwen rozważa, czy przyjąć zaproszenie na Wyspy Górne i zjednoczyć ponownie cały ród MacGilów. Erec zostaje wezwany, by powrócić do swych ludzi na Wyspy Południowe i spotkać się ze swym umierającym ojcem. Alistair dołącza do niego i rozpoczynają się przygotowania do ceremonii ich zaślubin. Być może także Thora i Gwendolyn czekają wkrótce podobne przygotowania. Thor zbliża się do swej siostry i gdy życie w Kręgu płynie znów spokojnie, czuje, iż coś wzywa go do odbycia największej wyprawy ze wszystkich: do odległej krainy, w której odnajdzie swą tajemniczą matkę i dowie się, kim naprawdę jest.

Pośród licznych przygotowań do ceremonii zaślubin, wraz z powrotem wiosny, odbudową Królewskiego Dworu i planowanymi biesiadami, w Kręgu zdaje się panować pokój. Lecz niebezpieczeństwo czai się w niespodziewanych miejscach i największe zgryzoty bohaterów być może dopiero nadejdą. Odznaczające się wyszukaną inscenizacją i charakterystyczną NIEBO ZAKLEĆ to epicka opowieść o przyjaciołach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, o złamanym sercu, oszustwach, ambicji i zdradzie. To opowieść o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu, o magii. To fantazja wciągająca nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci. Teraz dostępne są także księgi 10-17 cyklu!

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	10
ROZDZIAŁ DRUGI	14
ROZDZIAŁ TRZECI	16
ROZDZIAŁ CZWARTY	23
ROZDZIAŁ PIĄTY	26
ROZDZIAŁ SZÓSTY	29
ROZDZIAŁ SIÓDMY	33
ROZDZIAŁ ÓSMY	37
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	40
Конец ознакомительного фрагмента.	41

Morgan Rice

Niebie Zakłęć (Księga 9 Kręgu Czarnoksiężnika)

PRZEKŁAD: SANDRA WILK

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. „Wyprawa bohaterów” opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– *Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)*

„KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnice, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– *Books and Movie Reviews, Roberto Mattos*

„Zajmujące epickie fantasy Morgan Rice [KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA] zawiera klasyczne cechy gatunku – dobrze zbudowaną scenerię, w dużej mierze inspirowaną starożytną Szkocją i jej historią, oraz ciekawie opisany świat dworskich intryg.”

– *Kirkus Reviews*

„Bardzo podoba mi się, jak Morgan Rice zbudowała postać Thora i świat, w którym żyje. Krainy i stwory, które je zamieszkują, są bardzo dobrze opisane... Podobają mi się [fabuła]. Jest krótka i przyjemna... Postaci drugoplanowych jest w sam raz, by się nie pogubić. W książce

opisane są przygody i przerażające chwile, lecz akcja nie jest zbyt groteskowa. To książka idealna dla nastoletniego czytelnika... Początki czegoś niezwykłego...”

– *San Francisco Book Review*

“W pierwszej części epickiej serii fantasy Krąg Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem „Thorem” McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– *Publishers Weekly*

„[WYPRAWA BOHATERÓW] to szybka i łatwa lektura. Zakończenia rozdziałów sprawiają, że musisz przekonać się, co zdarzy się dalej i nie chcesz odkładać tej książki. Jest w niej kilka literówek, a imiona czasem są pomyłone, lecz to nie odwraca uwagi od opisanych wątków. Zakończenie książki sprawiło, że nabrałem ochoty, by natychmiast kupić kolejną część, co też zrobiłem. Wszystkich dziewięć części Kręgu Czarnoksiężnika dostępnych jest w sklepie Kindle, a Wyprawa bohaterów dostępna jest za darmo na zachętę! Jeśli szukasz szybkiej i ciekawej książki na wakacje, ta będzie w sam raz.”

– *FantasyOnline.ne*

Książki Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZĘŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZĘŚĆ #2)

POTĘGA HONORU (CZĘŚĆ #3)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZĘŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZĘŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZĘŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZĘŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZĘŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZĘŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZĘŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZĘŚĆ 8)

NIEBO ZAKLĘĆ (CZĘŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZĘŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZĘŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZĘŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZĘŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZĘŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZĘŚĆ 15)

POTYCZKI RYCERZY (CZĘŚĆ 16)

ŚMIERTELNA BITWA (CZĘŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZĘŚĆ 1)

ARENA TWO (CZĘŚĆ 2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

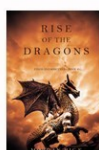
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

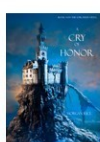
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





Posłuchaj książek z cyklu KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA w formie audiobooka!

*– My, nieliczni wybrańcy, kompania braci.
Ten, który dziś krew przeleje ze mną
Bratem mym się stanie. –*

*William Shakespeare
Henryk V*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Thor stał naprzeciw Gwendolyn, opuściwszy miecz, i drżał na całym ciele. Rozejrzał się i spostrzegł wpatrujące się w niego w cisy osłupiałe twarze – Alistair, Erec, Kendricka, Steffena i wielu swych ziomków – ludzi, których znał i których kochał. *Jego* ludzi. A on stał naprzeciw nich z mieczem w dłoni. Znalazł się po niewłaściwej stronie bitwy.

Wreszcie to do niego dotarło.

Mrok zaciemniający jego umysł rozrzedził się i w głowie Thora rozbrzmiały słowa Alistair, napełniając go jasnością. Na imię mu było Thorgrin. Był członkiem Legionu. Mieszkańcem Zachodniego Królestwa Kręgu. Nie był żołnierzem walczącym dla Imperium. Nie kochał swego ojca. Kochał wszystkich tych ludzi.

A nade wszystko – Gwendolyn.

Thor opuścił wzrok i spojrzał na jej twarz, a ona utkwiała w nim spojrzenie zapuchniętych od łez oczu. Ogarnęły go wstyd i przerażenie, gdy zdał sobie sprawę, że stał przed nią z mieczem w dłoni. Dłonie jego rozgorzały z upokorzenia i żalu.

Thor rozluźnił uścisk, pozwalając, by miecz wysunął mu się z dłoni. Dał krok naprzód i objął Gwendolyn.

Gwendolyn przytuliła go z całej siły i Thor usłyszał, jak zanosi się płaczem, czuł jej gorące łzy na swej szyi. Ogarnęły go wyrzuty sumienia i nie potrafił pojąć, jakim sposobem doszło do tego wszystkiego. Nie pamiętał tego zbyt wyraźnie. Wiedział jedynie, iż uradowało go, że stał się na powrót sobą, że nic już nie mąciło jego myśli i powrócił do swych ludzi.

– Kocham cię – wyszeptała mu do ucha. – I nigdy nie przestanę.

– Kocham cię z całego serca i całej duszy – odrzekł Thor.

Krohn miauknął u jego nogi, podskakując i liżąc jego dłoń; Thor pochylił się i ucałował jego pysk.

– Daruj – rzekł do niego, przypominawszy sobie cios, który zadał mu, gdy Krohn stanął w obronie Gwen. – Wybacz mi.

Ziemia, trzęsąca się silnie jeszcze przed chwilą, wreszcie na powrót znieruchomiała.

– THORGRINIE! – rozległ się krzyk.

Odwróciwszy się, Thor ujrzał Andronicusa. Jego ojciec postąpił naprzód, na plac, mierząc go gniewnym spojrzeniem. Twarz płonęła mu z wściekłości. Obie armie przyglądały się osłupiałe w cisy, jak ojciec i syn stają naprzeciw siebie.

– *Rozkazuję ci!* – rzekł Andronicus. – Zabij ich! Zabij ich wszystkich! Jestem twym ojcem. Usłuchasz mnie, nikogo innego!

Jednakże tym razem, gdy Thor patrzył na Andronicusa, zdało mu się, że coś się zmieniło. Coś wewnątrz niego. Nie widział już w Andronicusie swego ojca, członka rodziny, kogoś, przed kim musi odpowiadać i za kogo oddałby życie; miast tego ujrzał w nim wroga. Potwora. Thor nie czuł już najmniejszego obowiązku, by oddać życie za tego mężczyznę. Wręcz przeciwnie: rozgorzała w nim wściekłość. Stał przed nim ten, który zaordynował atak na Gwendolyn; który uśmiercił jego ziomków, który najechał i splądrował jego ziemie ojczyste; który zawładnął jego umysłem i za pomocą swej mrocznej magii uwięził go.

Nie darzył miłością tego mężczyzny. Był to raczej człowiek, którego jak żadnego innego pragnął zabić. Nie zważając na to, czy jest jego ojcem, czy nie.

Nagle Thor poczuł, jak budzi się w nim niepohamowana wściekłość. Pochylił się, schwycił miecz i co sił w nogach rzucił się przez plac, gotów zabić swego ojca.

Andronicus sprawiał wrażenie zdumionego, patrząc, jak Thor zbliża się, unosi miecz wysoko, ponad swą głowę, i opuszcza go obojgiem rąk z całej siły na jego głowę.

W ostatniej chwili Andronicus uniósł swój ogromny topór bojowy, odwrócił go bokiem i zablokował uderzenie metalowym trzonem.

Thor nie ustępował: raz po raz ciął mieczem, gotując się do zadania ostatecznego ciosu, a Andronicus za każdym razem unosił topór i odpierał go. Głośny szcęk dwóch stykających się broni rozbrzmiewał w powietrzu, a obie armie przyglądały się wojownikom w milczeniu. Z każdym uderzeniem sypały się tysiące iskier.

Thor krzyczał i stękał z wysiłku, czerpiąc z każdej umiejętności, jaką tylko posiadał, licząc, iż szybko zabije swego ojca. Musiał to uczynić – dla siebie, dla Gwendolyn, dla wszystkich, którzy zaznali cierpienia z ręki tego potwora. Z każdym ciosem Thor pragnął bardziej niż cegokolwiek innego wymazać swą krew, swe pochodzenie, na nowo zapisać swą historię. Wybrać innego ojca.

Andronicus, broniąc się, odpierał jedynie ciosy Thora, nie atakując go. Wyraźnie powstrzymywał się od atakowania swego syna.

– Thorgrinie! – rzekł Andronicus pomiędzy kolejnymi uderzeniami. – Jesteś moim synem. Nie chcę wyrządzić ci krzywdy. Jestem twym ojcem. Ocaliłeś mi życie. Pragnę, byś przeżył.

– A ja pragnę twej śmierci! – wykrzyknął Thor w odpowiedzi.

Thor zamachiwał się raz za razem, mimo słusznej postury i niemałej siły Andronicusa spychając go na skraj placu. Jednakże Andronicus nadal nie atakował Thora. Jak gdyby żywił nadzieję, iż syn powróci na jego stronę.

Lecz tym razem Thor nie powracał. Teraz wreszcie wiedział, kim jest. W końcu wyparł słowa Andronicusa ze swej głowy. Thor wolałby być martwy, niż raz jeszcze znaleźć się na jego łasce.

– Thorgrinie, opamiętaj się! – wykrzyknął Andronicus. Iskry posypały się obok jego twarzy, gdy ostrzem topora zablokował wyjątkowo silny cios. – Zmuszasz mnie, bym cię zabił, a tego czynić nie chcę. Jesteś moim synem. Gdybym zabił ciebie, i ja bym zginął.

– Zatem zgiń! – rzekł Thor. – A jeśli tego nie chcesz, ja uczynię to za ciebie!

Z głośnym krzykiem Thor podskoczył i kopnął Andronicusa obiema nogami w pierś, posyłając go w tył, aż potoczył się i runął na plecy.

Andronicus podniósł wzrok, zaskoczony, iż coś takiego się zdarzyło.

Thor stanął nad nim i podniósł wysoko miecz, by zadać ostateczny cios.

– NIE! – rozbrzmiał wrzask. Był to paskudny głos, brzmiący jak gdyby dobył się z samych czeluści piekielnych. Obejrzawszy się Thor ujrzał, iż z ciżby na plac wyłania się postać. Miała na sobie długą szkarłatną szatę, twarz skrytą pod kapturem, a z głębi jej gardła dobywał się pomruk niepodobny do żadnego odgłosu wydawanego przez człowieka.

Rafi.

Jakimś sposobem Rafi powrócił z miejsca, w które posłał go Argon podczas bitwy. Stał teraz przed Thorem, wyciągając obie ręce na boki. Uniósł je, a rękawy jego szaty osunęły się, ukazując bladą, poznaczoną pęcherzami skórę, która zdawała się nigdy nie być wystawioną na promienie słoneczne. Wydawał z siebie paskudny, gardłowy dźwięk, coś jakby warczenie. Gdy otworzył szeroko usta, odgłos przybrał na sile, aż wzniósł się pod nieboskłon. Niski dźwięk poniosł się drżąc, aż Thora zabolalo w uszach.

Ziemia poczęła drżeć. Thor zachwiał się, gdy wszystko wokoło zatrzęsło się. Powiódł wzrokiem za dłońmi Rafiego i ujrzał przed sobą coś, czego miał już nigdy nie zapomnieć.

Ziemia poczęła rozstępować się na dwoje i tworzyć wielką rozpadlinę, coraz bardziej się powiększającą. Żołnierze obu armii wpadli w nią, ześlizgnęli się w dół, z krzykiem spadając w coraz szerszą otchłń.

Spod ziemi dobyła się pomarańczowa poświata, rozległ się potworny syk i rozpadlina plunęła parą i mgłą.

Ich oczom ukazała się pojedyncza dłoń, wyłaniająca się z otchłani i wczepiająca palce w ziemię. Była czarna, guzowata, zeszpecona, a gdy podciągnęła się, Thor ku swemu przerażeniu ujrzał, iż z głębin ziemi wyłania się okropny stwór. Jego sylwetka przypominała ludzką, lecz był cały czarny,

miał wielkie, rozżarzone czerwone ślepia i długie czerwone kły. Ciągnął za sobą długi czarny ogon. Jego ciało było guzowate i wyglądał jak truposz.

Stwór odrzucił głowę w tył i wydał z siebie okropny ryk, podobny do tego, który wydał z siebie uprzednio Rafi. Zdawał się to być jakiegoś rodzaju nieumarły stwór, przyzwany z czeluści piekielnych.

Za tym stworem wyłonił się nagle kolejny. I jeszcze jeden.

Podciągając się z otchłani piekieł, na powierzchnię wyszły ich tysiące. Armia nieumarłych. Armia Rafiego.

Podeszły z wolna do czarnoksiężnika i zatrzymały się naprzeciw Thora i pozostałych.

Thor przypatrywał się w szoku stojącej naprzeciw niego armii; gdy stał tak, ściskając wciąż w dłoni wysoko uniesiony miecz, Andronicus nagle wytoczył się spod niego i wycofał do swej armii, nie chcąc stawać do walki z Thorgrinem.

Wtem nagle tysiące stworów rzuciły się w kierunku Thora, zalewając plac. Ruszyły, by zabić jego i wszystkich jego ludzi.

Thor otrząsnął się ze zdumienia i uniósł wysoko miecz, gdy pierwszy stwór rzucił się na niego, warcząc, z wyciągniętymi pazurami. Thor uchylił się, zamachnął mieczem i odciął mu łeb. Stwór runął na ziemię, gdzie legł i nie poruszył się więcej, a Thor gotował się na spotkanie z kolejnym.

Stwory te były silne i szybkie, lecz w starciu jeden na jednego nie mogły się równać z Thorem i wprawnymi wojownikami Kręgu. Thor walczył z nimi zręcznie, posyłając na prawo i lewo śmiertelne ciosy. Zastanawiał się jednakże, z iloma spośród nich mógł walczyć naraz? Tysiące stworów napierały na niego z każdej strony, podobnie jak na każdego z jego kompanów.

Thor stanął u boku Ereca, Kendricka, Sroga i pozostałych. Walczyli ramie w ramie i osłaniali się wzajemnie, tnąc na lewo i prawo, kładąc po dwa albo i trzy stwory za każdym uderzeniem. Jeden z nich przedarł się, schwycił Thora za ramię, zadrapując je, aż z rany trysnęła krew, a Thor wykrzyknął z bólu. Zamachnął się i ukatrupił potwora dźgnięciem w serce. Thor był wybitnym wojownikiem, lecz jego ręka już bolała i nie wiedział, ile czasu minie, nim te stwory ich wykończą.

Jego myśli zaprzętało jednak najbardziej doprowadzenie Gwendolyn w bezpieczne miejsce.

– Zaprowadź ją na tyły! – wrzasnął Thor, chwytając Steffena, który walczył z jednym z potworów, i popychając go w kierunku Gwen. – NATYCHMIAST!

Steffen schwycił Gwen i odciągnął ją, znikając w armii żołnierzy, zwiększając odległość między nią a potworami.

– NIE! – zaprotestowała Gwen. – Chcę pozostać tutaj, z tobą!

Lecz Steffen usłuchał rozkazu i posłusznie zaprowadził ją w tylne szeregi bitwy, chroniąc za tysiącami MacGilów i Gwardzistów, którzy mężnie odpierali stwory. Thor z ulgą ujrzał, iż jest bezpieczna, odwrócił się i rzucił w wir walki z nieumarłymi.

Thor usiłował przyzwać swe druidzkie moce, usiłował walczyć zarówno duchem, jak i mieczem; lecz z jakiegoś powodu nie udawało mu się to. Zajście z Andronicusem i Rafi kontrolujący jego umysł pozbawili go sił. Jego moc potrzebowała więcej czasu, by mógł z niej znów korzystać. Musiał walczyć zwyczajnym orężem.

Alistair podeszła do Thora i stanęła obok niego, uniosła dłoń i skierowała ją w stronę nieumarłych. Wystrzeliła z niej kula światła, uśmiercając kilka stworzeń naraz.

Alistair unosiła dłonie jeszcze wiele razy, zabijając stwory dokoła siebie, a wtedy Thor poczuł natchnienie, energia jego siostry przenikała go. Raz jeszcze podjął próbę przyzwania innej części siebie, walki nie tylko mieczem, lecz także umysłem, duchem. Gdy kolejny stwór zbliżał się do niego, Thor uniósł dłoń i spróbował przyzwać swe moce.

Thor poczuł, jak coś wzbiera w jego dłoni, i nagle tuziny stworów poleciały w powietrzu, niesione jego mocą, i z wyciem wpadły w rozpadlinę w ziemi.

Kendrick, Erec i pozostali walczyli mężnie u boku Thora. Każdy z nich zadał śmierć tuzinom stworów, podobnie jak żołnierze wokoło nich, wyrzucając z siebie głośny okrzyk bitewny i walcząc co

tchu. Armia imperialna przyglądała się, pozwalając armii Rafiego toczyć bitwę za nich, pozwalając, by odarli z sił ludzi Thora. Ich plan odnosił skutki.

Wkrótce ludzie Thora, wycieńczeni, wolniej cięli mieczami. A nieumarli nie przestawali napływać spod ziemi, niby niekończący się strumień.

Thor dyszał ciężko, podobnie jak inni. Nieumarli poczęli przedzierać się przez ich szeregi i jego ludzie z wolna padali. Przeciwników było po prostu zbyt wielu. Wokoło Thora niesły się krzyki jego ludzi, przyciskanych do ziemi przez nieumarłych, którzy zatapiali kły w gardłach żołnierzy i wysysali ich krew. Z każdym żołnierzem, którego uśmiercały, stwory zdawały się rosnać w siłę.

Thor wiedział, iż muszą natychmiast coś uczynić. Musieli przyzwać ogromną moc, by wyrównać szanse, moc silniejszą niż te, które posiadał on czy Alistair.

– Argon! – rzekł nagle Thor do Alistair. – Gdzie on jest? Musimy go odnaleźć!

Thor obejrzał się i spostrzegł, iż Alistair męczy się i traci siłę; za nią wślizgnęła się bestia, zdzieliła ją wierzchnią stroną łapy, a ona upadła z krzykiem. Gdy potwór skoczył na nią, Thor podbiegł i przeszył jego grzbiet mieczem, ocalając Alistair w ostatniej chwili.

Thor wyciągnął rękę i podciągnął ją prędko na nogi.

– Argon! – wrzasnął Thor. – On jest naszą jedyną nadzieją. Musisz go odnaleźć. Natychmiast!

Alistair spojrzała na niego, pojawiając się, i spieszenie zniknęła w gęstwie żołnierzy.

Jeden ze stworów prześlizgnął się i rzucił z pazurami na gardło Thora, a wtedy Krohn podbiegł i skoczył na niego, warcząc, i przycisnął do ziemi. Wtem kolejny stwór rzucił się na grzbiet Krohna, a Thor ciął go i zabił.

Kolejny potwór przyskoczył na plecy Ereca i Thor rzucił się naprzód, zrzucił go, schwycił obojgiem rąk, uniósł wysoko nad głowę i cisnął nim w kilka stworów, przewracając je. Kolejna bestia natarła na Kendricka, który jej nie spostrzegł, a Thor złapał swój sztylet i dźgnął ją w gardło nim zdołała zatopić kły w jego ramieniu. Thor czuł, że choć tyle może zrobić, by począć rekompensować im to, iż stanął naprzeciw Ereca, Kendricka i pozostałych. Dobrze było walczyć znów po ich stronie, po właściwej stronie; dobrze było wiedzieć znów, kim jest i wiedzieć, za kogo walczy.

Rafi stał, wyciągając na boki ręce, nucąc, a kolejne tysiące bestii wypływały z czeluści ziemi. Thor wiedział, iż nie będą w stanie odpierać ich zbyt długo. Otaczała ich czarna chmara, a kolejni nieumarli, ramię w ramię, spieszyli naprzód. Thor wiedział, iż wkrótce on i wszyscy jego ludzie zostaną pochłonięci.

Przynajmniej, pomyślał, zginie walcząc po właściwej stronie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Luanda szarpała się, młóćąc rękoma i wierzgając nogami, gdy Romulus niósł ją w swych ramionach, przemierzając most i z każdym krokiem oddalając się od jej ziem ojczystych. Krzyczała i rzucała się, paznokcie wbijała mu w skórę, robiła wszystko, co tylko mogłoby pomóc jej się wydostać z jego chwytu. Jego ręce były jednak zbyt muskularne, twarde niby skały, ramiona jego zbyt szerokie i oplatał ją zbyt ciasno, by mogła się wydostać, trzymając w uścisku niby pyton, ściskając niemal na śmierć. Żebra bolały ją tak, że ledwie mogła oddychać.

Pomimo tego to nie o siebie lękała się najbardziej. Podniosła wzrok i na drugim końcu mostu ujrzała mrowie żołnierzy Imperium z orężem w dłoni. Z niecierpliwością czekali, aż Tarcza opadnie i będą mogli wdrzeć się na most. Luanda spojrzała przez ramię i spostrzegła osobliwą pelerynę, w którą odziany był Romulus. Drżała i biła od niej poświata. Luanda wyczuła, iż jakimś sposobem jest niezbędnym elementem, który umożliwi mu opuszczenie Tarczy. To musiało mieć coś wspólnego z nią. Po cóż innego miałyby ją porwać?

Luanda poczuła nowy przypływ determinacji: musiała się uwolnić – nie tylko przez wzgląd na siebie samą, lecz także przez wzgląd na jej królestwo, jej ludzi. Gdy Tarcza opadnie, tysiące czekających mężczyzn, ta olbrzymia horda żołnierzy imperialnych, wedrą się do królestwa i opadną na Krąg niby szarańcza. Zrabują, co jeszcze pozostało na jej ziemiach ojczystych, a na to nie mogła pozwolić.

Luanda pałała nienawiścią do Romulusa każdą cząstką swego jestestwa; nienawidziła wszystkich imperialnych wojowników, a najbardziej Andronicusa. Rozszalał się wicher i poczuła, jak jego zimne poddmuchy ocierają się o jej ogoloną na łyso głowę. Jęknęła, przypomniał sobie swą ogoloną głowę, poniżenie, jakiego doświadczyła z rąk tych bestii. Ukatrupiłaby każdego jednego z nich, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Gdy Romulus uwolnił ją z obozowiska Andronicusa, Luanda z początku myślała, iż oszczędzono jej strasznego losu, oszczędzono jej prowadzania wokoło jak zwierzęcia w Imperium. Lecz Romulus okazał się gorszy jeszcze niż Andronicus. Luanda była przekonana, iż gdy tylko przekroczą ten most, zabije ją – a może i najpierw będzie torturował. Musiała znaleźć jakiś sposób, by mu uciec.

Romulus pochylił się i szepnął jej do ucha głębokim, gardłowym głosem, który zjeżył włoski na jej ciele:

– Już niedaleko, dziecisko.

Luanda musiała szybko podjąć decyzję. Nie była niewolnicą; była pierwotną córką króla. Płynęła w niej królewska krew, krew wojowników, i nie lękała się nikogo. Uczyniłaby wszystko, co konieczne, gdyby walczyła z jakimkolwiek przeciwnikiem, nawet tak groteskowym i potężnym jak Romulus.

Luanda zebrała w sobie resztkę sił i jednym szybkim ruchem wygięła szyję w tył, rzuciła naprzód i zatopiła zęby w gardle Romulusa. Zaciśnęła szczękę ze wszystkich sił, wgryzając się coraz mocniej i mocniej, aż jego krew zalała jej twarz i upuścił ją z wrzaskiem.

Luanda wsparła się na kolanach, obróciła i puściła biegiem przed siebie, mknąc przez most w kierunku swej ojczyzny.

Usłyszała za sobą jego kroki, coraz bliższe. Był znacznie szybszy, niż sobie wyobrażała i gdy obejrzała się przez ramię, ujrzała, iż zbliża się do niej z wyrazem niepohamowanego gniewu na twarzy.

Spojrzała przed siebie i zobaczyła ziemie Kręgu, ledwie dwadzieścia stóp dalej. Przyspieszyła.

Będąc ledwie kilka kroków od ziemi, Luanda poczuła ogromny ból w kręgosłupie, gdy Romulus rzucił się naprzód i walnął łokciem w jej plecy. Runęła jak długa twarzą do ziemi, prosto w pył, mając wrażenie, że cios ten zmiażdżył ją.

Chwilę później Romulus znalazł się na niej. Obrócił ją i zdzielił pięścią w twarz. Uderzył ją tak mocno, że cała aż się obróciła i wylądowała na powrót w pyłe. Ból przeszył jej szczękę, całą jej twarz, i niemal straciła przytomność.

Luanda poczuła, że Romulus unosi ją wysoko i z przerażeniem patrzyła, jak pędzi w kierunku skraju mostu, gotując się, by wyrzucić ją za jego krawędź. Zatrzymał się tam, krzycząc i trzymając ją wysoko nad głową, gotując się, by wypuścić ją z rąk.

Luanda spojrzała w dół i ujrawszy stromy spadek wiedziała już, że jej życie niebawem dobiegnie końca.

Romulus jednak trzymał ją nad przepaścią w trzęsących się rękach, zastygłszy bez ruchu, i najwyraźniej zmienił zdanie. Gdy jej życie wisiało na włosku, Romulus zdawał się rozmyślać. Bez wątplenia, miotany wściekłością, chciał wyrzucić ją za krawędź – lecz nie mógł. Potrzebował jej, by osiągnąć to, czego pragnął.

Wreszcie opuszczył ją i jeszcze ciaśniej oplótł wokół niej ręce, niemal pozbawiając ją tchu. Następnie puścił się biegiem nad Kanionem, zmierzając znów w kierunku swych ludzi.

Tym razem Luanda zwisała bezwładnie, słaniając się z bólu. Nie mogła zrobić już nic więcej. Próbowala – lecz na próżno. Teraz mogła już tylko patrzeć, jak jej los wypełnia się, krok za krokiem. Romulus niósł ją nad Kanionem, a mgła kłębiła się i osnuwała ją, po czym znikala równie szybko. Luanda miała wrażenie, jak gdyby zabierano ją na inną planetę, do miejsca, z którego nigdy nie powróci.

Dotarli w końcu na przeciwny kraniec Kanionu i gdy Romulus dał ostatni krok, peleryna okrywająca jego ramiona zadrżała głośno, a wokół niej rozeszła się czerwona poświata. Romulus rzucił Luandę niczym wór ziemniaków, a ona runęła na ziemię mocno, uderzając się w głowę, i leżała bez ruchu.

Żołnierze Romulusa stali przed nimi na skraju mostu, wgapiając się w nich, wyraźnie lękając się dać krok naprzód i sprawdzić, czy Tarcza w istocie opadła.

Romulus, rozwścieczony, schwycił jednego z nich, uniósł go wysoko i cisnął na most, prosto w niewidzialną barierę, gdzie niegdyś znajdowała się Tarcza. Żołnierz uniósł dłonie i krzyknął, gotując się na pewną śmierć. Spodziewał się zostać rozniesiony na strzępy.

Lecz tym razem zdarzyło się coś zgoła innego. Żołnierz przeciął powietrze, wylądował na moście i przetoczył się. Wszyscy przyglądali się w milczeniu, jak zatrzymuje się – żywy.

Żołnierz odwrócił się, usiadł i spojrzał na nich, bardziej jeszcze zdumiony niż oni. Udało mu się. To mogło oznaczać tylko jedno: Tarcza opadła.

Armia Romulusa wypuściła z siebie głośny okrzyk i natarła jak jeden mąż. Wdarli się wszyscy na most, pędząc ku Kręgowi. Luanda skuliła się, usiłując nie zostać przez nich stratowaną, a oni pędzili obok niej, niby stado słoni, zmierzając ku jej ojczyźnie. Patrzyła z przestachem.

Jej królestwo nigdy już nie będzie takie, jakim przywykła je znać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Reece stał na skraju dołu z lawą i z niedowierzaniem patrzył w dół. Ziemia pod nim gwałtownie się trzęsła. Ledwie pojmował, co właśnie uczynił, a mięśnie wciąż bolały go od upuszczenia głazu, od wrzucenia Miecza Przeznaczenia do dołu.

Zniszczył właśnie najpotężniejszą broń w Kręgu, legendarny oręż, miecz, który należał do jego przodków od wielu pokoleń, broń Wybrańca, jedyną broń podtrzymującą Tarczę. Cisnął go w dół z płynnym ogniem i na własne oczy widział, jak się topi, jak pochłania go ogromny krąg czerwieni, i znika w nicości.

Przepada na zawsze.

Ziemia poczęła trząść się i od tego momentu trzęsienie nie ustawało. Reece z trudem utrzymywał równowagę, podobnie jak pozostali. Odsunął się od krawędzi dołu. Miał wrażenie, iż świat dokoła niego rozpada się. Co też najlepszego uczynił? Czy zniszczył Tarczę? I Krąg? Czyżby popełnił największy błąd w swoim życiu?

Reece usiłował ukoić nerwy, tłumacząc sobie, iż nie miał innego wyboru. Głaz i Miecz były zbyt ciężkie, by mogli je stąd wynieść – a co dopiero, by się z nimi wspinać – czy też biec i pozostawić w tyle tych gwałtownych dzikusów. Znalazł się w rozpaczliwej sytuacji, która wymagała rozpaczliwych środków.

Ich rozpaczliwa sytuacja nie uległa zmianie od tamtego czasu. Reece słyszał wokoło siebie głośne krzyki i odgłosy tysięcy tych stworów, szczękających zębami w sposób, który przyprawiał go o gęsią skórę, śmiejących się i warczących jednocześnie. Brzmiały jak stado szakali. Najwyraźniej Reece rozwścieczył ich; odebrał im ich cenną zdobycz, a oni najpewniej uznali, że musi im za to zapłacić.

Choć już kilka chwil temu sytuacja była zła, teraz pogorszyła się jeszcze. Reece dojrzał pozostałych – Eldena, Indrę, O'Connora, Convena, Kroga i Sernę – spoglądających z przerażeniem w dół z lawą, a następnie odwracających się i rozglądających w rozpacz. Z każdej strony nacierały na nich tysiące Fawów. Reece zdołał uratować Miecz, lecz nie obmyślił dalszego planu, nie przemyślał, jak wydostać siebie i pozostałych z opałów. Wciąż byli otoczeni z każdej strony, bez możliwości ucieczki.

Reece był zdecydowany znaleźć wyjście, a teraz, gdy nie musieli już kłopotać się Mieczem, mogli przynajmniej poruszać się żywiej.

Reece dobył miecza, który przeciął powietrze z charakterystycznym świstem. Dlaczego miałby siedzieć i czekać, aż te stwory zaatakują? Przynajmniej polegnie w walce.

– DO ATAKU! – krzyknął Reece do pozostałych.

Wszyscy dobyli swej broni i zebrali się za nim. Ruszyli w jego ślady, gdy Reece rzucił się w stronę przeciwną od dołu z lawą, prosto w ciżbę Fawów, siekąc mieczem na wszystkie strony, zabijając ich na prawo i lewo. Obok niego Elden uniósł topór i ciął dwie głowy naraz, a O'Connor dobył łuku i wypuszczał strzały w biegu, kładąc wszystkich tych, którzy stanęli mu na drodze. Indra ruszyła naprzód i swym krótkim mieczem dźgnęła w serce dwóch, podczas gdy Conven dobył dwu mieczy i krzycząc jak szaleniec rzucił się naprzód, wymachując nimi wściekle i zabijając Fawów wokoło siebie. Serna dzierżył swój buzdygan, a Krog włócznie, osłaniając tyły.

Byli niby machina do walki. Walczyli jak jeden mąż, ile starczyło im sił, wycinając ścieżkę w gęstwie Fawów i rozpaczliwie szukając drogi ucieczki. Reece poprowadził ich ku niewielkiemu wzgórzu, zmierzając ku wyżej położonemu terenowi.

Idąc, ślizgali się po stromym, błotnistym zboczu, a ziemia nadal się trzęsła. Stracili nieco rozpęd i kilku Fawów skoczyło na Reece'a, drapiąc go i gryząc. Obrócił się i zdzielił ich pięścią; uparcie się go trzymały, lecz zdołał je strącić, posłać kopniakiem w tył i dźgnąć nim zdołały ponownie zaatakować.

Podrapany i poobijany Reece walczył dalej co sił, podobnie jak pozostali, by wspiąć się na wzniesienie i wydostać się z tego miejsca.

Gdy dotarli w końcu na szczyt, Reece odczuł chwilową ulgę. Zatrzymał się, z trudem chwytając powietrze. W oddali dojrzał ścianę Kanionu, nim ponownie przykryła ją gęsta mgła. Wiedział, iż tam znajduje się droga ratunku, który zaprowadzi ich z powrotem na górę, i wiedział, iż muszą tam dotrzeć.

Reece obejrzał się przez ramię i ujrzał tysiące Fawów pędzących ku wzniesieniu, ku nim, bzykających, szczękających zębami, wydających z siebie potworny dźwięk, głośniejszy niż uprzednio, i wiedział, iż nie pozwolą im odejść.

– A co ze mną? – przeciął powietrze jakiś głos.

Reece odwrócił się i ujrzał z tyłu Centrę. Wciąż trzymano go spętanego, obok przywódcy, a jeden z Fawów nadal przyciskał mu nóż do gardła.

– Nie zostawiajcie mnie tu! – wykrzyknął. – Oni mnie zabiją!

Reece stał w miejscu, a wewnątrz niego rozgorzała frustracja. Co oczywiste, Centra miał rację: zabijają go. Reece nie mógł go tam zostawić; postąpiłby wbrew swemu kodeksowi honoru. Wszak Centra przyszedł im z pomocą, gdy jej potrzebowali.

Reece stał bez ruchu, wahając się. Odwrócił się i ujrzał w oddali ścianę Kanionu, wyjście, które go przyzywało.

– Nie możemy po niego wrócić! – rzekła Indra gorączkowo. – Ukatrupią nas wszystkich.

Kopnęła Fawa, który zbliżył się do niej, a ten poleciał w tył, zsuwając się na plecach po stoku.

– Nawet nam samym trudno będzie ujść z życiem! – zawołał Serna.

– On nie jest jednym z nas! – rzekł Krog. – Nie możemy stawiać naszej grupy w niebezpieczeństwie przez wzgląd na niego!

Reece stał bez ruchu, rozmyślając. Fawowie zbliżali się i wiedział, że musi zadecydować.

– Zgadza się – przyznał Reece. – Nie jest jednym z nas. Lecz pomógł nam. I jest dobrym człowiekiem. Nie mogę pozostawić go na łasce tych stworów. *Nikt nie zostaje z tyłu!* – rzekł Reece stanowczo.

Reece począł kierować się w dół zbocza, by wrócić po Centrę – jednakże nim zdołał to zrobić, Conven raptownie wyrwał przed siebie i rzucił się w dół, zeskakując i ześlizgując się po błotnistym zboczu, stopami naprzód, z wyciągniętym mieczem, i siekąc po drodze, uśmiercając Fawów na lewo i prawo. Powracał do miejsca, z którego przyszli, w pojedynkę, nierozważnie, rzucając się w grupki Fawów, i jakimś sposobem udawało mu się z zapamiętaniem torować sobie przez nich drogę.

Reece podążał tuż za nim.

– Wy pozostaniecie tutaj! – wykrzyknął do pozostałych. – Czekajcie, aż wrócimy!

Reece poszedł w ślady Convena, siekąc Fawów na prawo i lewo; zrównał się z nim i zabezpieczał tyły. We dwóch przedzierali się w dół, po Centrę.

Conven rzucił się naprzód, przecinając gęstwę Fawów, a Reece torował sobie drogę do Centry, który przyglądał się mu wybałuszonymi ze strachu oczyma. Jeden z Fawów uniósł sztylet, by poderżnąć gardło Centrze, lecz Reece nie pozwolił mu na to: dał krok naprzód, uniósł miecz, obrócił cel i cisnął nim z całej siły.

Miecz przeciął powietrze, obracając się dokoła własnej osi, i zatopił się w gardle Fawa nim zdołał zabić Centrę. Centra wrzasnął, gdy obejrzał się i ujrzał martwego Fawa, ledwie kilka cali od siebie. Ich twarze niemal się stykały.

Ku zaskoczeniu Reece'a, Conven nie ruszył ku Centrze; miast tego pobiegł dalej, w górę niewielkiego wzniesienia. Reece podniósł wzrok i z przerażeniem patrzył na to, co robi Conven, który zdawał się lgnąć ku śmierci. Wycinał ścieżkę przez grupę Fawów otaczających ich przywódcę, który siedział na swym podwyższeniu, przyglądając się bitwie. Conven zabijał ich na prawo i lewo. Nie spodziewali się tego, to wszystko działo się zbyt szybko, by któryś z nich zdążył zareagować. Reece pojął, iż Conven mierzy w przywódcę.

Conven zbliżył się, skoczył, uniósł miecz, a gdy przywódca pojął, co zamierza uczynić i usiłował się wymknąć, Conven dźgnął go w serce. Przywódca wrzasnął – i nagle rozległ się chór dziesięciu tysięcy wrzasków wszystkich Fawów, jak gdyby to ich dźgnięto. Jak gdyby wszyscy mieli ten sam układ nerwowy – a Conven go przerwał.

– Nie powinieneś był tego czynić – rzekł Reece do Convena, gdy stanął ponownie u jego boku.
– Rozpętałeś wojnę.

Reece przyglądał się z przerażeniem, jak niewielkie wzniesienie pęka i wysypują się z niego tysiące Fawów, rojących się niby mrówki. Reece pojął, iż Conven zabił ich królową matkę, iż wzniecił gniew wszystkich tych stworzeń. Ziemia zadrżała od tupotu ich stóp, gdy szczękając zębami, pędzili wprost na Reece’a, Convena i Centrę.

– NAPRZÓD! – krzyknął Reece.

Reece pchnął Centrę, który zastygł w miejscu, zaszokowany, i wszyscy odwrócili się i ruszyli w kierunku pozostałych, z trudem pokonując stok błotnistego wzgórza.

Reece poczuł, jak jeden z Fawów skacze mu na plecy i powala go. Pociągnął go za kostki w dół zbocza i zbliżył kły ku jego szyi.

Strzała poszybowała obok głowy Reece’a i rozległ się dźwięk grotu zatapiającego się w ciele. Podniósłszy wzrok, na szczycie wzniesienia Reece ujrzał O’Connora z łukiem w dłoni.

Centra pomógł Reece’owi stanąć na nogi, a Conven osłaniał tyły, odpierając Fawów. Pokonali w końcu pozostałą część drogi ku szczytowi wzniesienia i dotarli do pozostałych.

– Dobrze, żeście wrócili! – zawołał Elden, rzucając się naprzód i kładąc kilku Fawów toporem.

Reece stanął na szczycie i spojrzał we mgłę, zastanawiając, którędy pójść. Droga rozwidlała się na dwoje i Reece miał zamiar obrać tę skręcającą w prawo.

Wtem nagle Centra minął go pędem, skręcając w lewo.

– Za mną! – zawołał, nie zatrzymując się. – To jedyne wyjście!

Tysiące Fawów poczęły wbiegać na wzgórze, a Reece i pozostali odwrócili się i ruszyli za Centrą, ślizgając się i zjeżdżając po drugiej jego stronie. Ziemia drżała nadal. Podążali za Centrą, a Reece był niewymownie wdzięczny, iż ocalił mu życie.

– Musimy odnaleźć ścianę Kanionu! – zawołał Reece, nie będąc pewnym, w którym kierunku zmierza Centra.

Parli przed siebie, lawirując między gęsto porośniętymi, sękatymi drzewami, z trudem nadążając za Centrą, który wprawnie poruszał się we mgle po wyboistym, piaszczystym szlaku, porośniętym korzeniami.

– Uda nam się je zmylić tylko w jeden sposób! – zawołał Centra przez ramię. – Podążajcie za mną!

Trzymali się tuż za biegnącym Centrą, potykając się o korzenie, drapani przez gałęzie. Reece z trudem był w stanie dostrzec cokolwiek przez gęstniejącą mgłę. Nie raz potknął się na wyboistej ścieżce.

Biegli, aż bolało ich w płucach, a za nimi wciąż rozlegało się paskudne skrzeczenie tysięcy tych stworów, nieustannie się do nich zbliżających. Elden i O’Connor pomagali Krogowi, i to ich spowalniało. Reece modlił się, by Centra wiedział, dokąd zmierza; nie widział stąd wcale ściany Kanionu.

Nagle Centra zatrzymał się, wyciągnął dłoń i klapnął Reece’a w pierś, aż ten zatrzymał się raptownie.

Reece spojrzał w dół i u swych stóp ujrzał stromy spadek, uchodzący wprost w rwącą rzekę.

Reece, skołowany, odwrócił się ku Centrze.

– Woda – wyjaśnił Centra, z trudem chwytając powietrze. – Lękają się przekroczyć wodę.

Pozostali zatrzymali się raptownie obok nich, wpatrując się w dół, w ryczący nurt, i próbując złapać oddech.

– To wasza jedyna szansa – dodał Centra. – Przekroczcie rzekę, a na chwilę zatrzenie swój ślad i zyskacie czas.

– Ale w jaki sposób? – spytał Reece, wpatrując się w spienione zielone wody.

– Prąd nas zabije! – wykrzyknął Elden.

Centra uśmiechnął się pod nosem.

– To najmniejsze z waszych zmartwień – odrzekł. – W wodach tych roi się od Fourenów – najstraszliwszych zwierzy, jakie istnieją. Wpadnijcie do nich, a rozedrą was na strzępy.

Reece spojrział w dół, na wodę, myśląc.

– Nie możemy zatem przebyć jej wpław – rzekł O'Connor. – A nie widzę żadnej łodzi.

Reece obejrzał się przez ramię. Odgłosy Fawów stawały się coraz głośniejsze.

– Waszą jedyną szansą jest to – rzekł Centra, sięgając w tył i przyciągając długie pnące uczone drzewa, którego gałęzie zwisały się nad rzeką. – Musimy się przehuścić na drugą stronę – dodał. – Nie ześlizgnijcie się. I nie spadnijcie tuż przed brzegiem. Pchnijcie ją z powrotem do nas, gdy będziecie po drugiej stronie.

Reece spojrział na wzburzoną wodę i ujrzał nieduże, paskudne stworzenia, połyskujące na żółto i wyskakujące nad powierzchnię, niby samogłowy. Miały olbrzymie paszcze, którymi kłapały, wydając przy tym dziwne odgłosy. Były ich tam całe ławice i wyglądały, jak gdyby czekały na swój kolejny posiłek.

Reece obejrzał się przez ramię i na widnokręgu ujrzał zbliżającą się armię Fawów. Nie mieli wyboru.

– Pójdź pierwszy – rzekł Centra do Reece'a.

Reece potrząsnął głową.

– Pójdę ostatni – odrzekł. – Na wypadek, gdyby nie wszyscy zdążyli. Ty pójdź pierwszy. Ty nas tu przyprowadziłeś.

Centra skinął głową.

– Nie musisz mnie prosić dwa razy – rzekł z uśmiechem, nerwowo zerkając na nadchodzących Fawów.

Centra zacisnął dłonie na pnączy i z krzykiem podskoczył. Przehuścił się szybko nad wodą, zwisając na pnączy nisko, unosząc nogi nad wodą i kłapiącymi stworami. W końcu wylądował na drugim brzegu, upadając na ziemię.

Udało mu się.

Centra wstał z uśmiechem na ustach; schwycił rozkołysane pnące i posłał je z powrotem na drugą stronę rzeki.

Elden wyciągnął dłoń, schwycił je i podał Indrze.

– Damy przodem – rzekł.

Indra skrzywiła się.

– Nie potrzebuję lepszego traktowania – powiedziała. – Jesteś duży. Możesz przerwać pnące. Pójdź i miej to z głowy. Nie wpadnij – albo ta kobieta będzie musiała cię ratować.

Elden skrzywił się, chwytając pnące. Nie ubawiły go słowa Indry.

– Usiłowałem jedynie pomóc – rzekł.

Elden skoczył z krzykiem, poszybował w powietrzu i wylądował na drugim brzegu obok Centry.

Posłał linę z powrotem i nadeszła kolej O'Connora, za nim Serny, po nim Indry i Convena. Pozostali jedynie Reece i Krog.

– Cóż, wygląda na to, iż zostaliśmy tylko my dwaj – rzekł Krog do Reece'a. – Dalej. Ocal siebie – powiedział Krog, zerkając nerwowo przez ramię. – Fawowie są zbyt blisko. Nam obu się nie uda.

Reece pokręcił głową.

– Nikt nie zostaje z tyłu – rzekł. – Jeśli ty się nie ruszysz, ja także tu pozostanę.

Obaj tkwili uparcie w miejscu, a Krog zdawał się coraz bardziej podenerwowany. Pokręcił głową.

– Jesteś głupcem. Dlaczego tak ci na mnie zależy? Ja nie dbałbym o ciebie choćby w połowie tak bardzo.

– Jestem teraz przywódcą, co czyni mnie odpowiedzialnym za ciebie – odrzekł Reece. – Nie dbam o ciebie. Dbam o honor. A mój honor nakazuje mi nie pozostawiać nikogo z tyłu.

Obydwaj obrócili się nerwowo, gdy dotarł do nich pierwszy z Fawów. Reece dał krok naprzód, a Krog wraz z nim, i cięli mieczami, zabijając kilku.

– Pójdziemy razem! – zawołał Reece.

Nie tracąc już ani chwili, Reece pochwycił Kroga, przerzucił sobie przez ramię, schwycił linę i obaj krzyknęli, skacząc w powietrze na chwilę przed tym, jak Fawowie wpadli na brzeg.

We dwóch przecinali powietrze, lecąc na drugą stronę.

– Pomocy! – krzyknął Krog.

Krog ześlizgiwał się z ramienia Reece'a i pochwycił się pnącza; było ono teraz jednakże mokre od drobnych kropelek wody i dłoń Kroga ześlizgnęła się z niego, a on sam runął do wody. Reece wyciągnął dłoń, by go pochwycić, lecz działało się to zbyt szybko: serce mu zamarło, gdy zmuszony był patrzeć, jak Krog spada, wymykając się z jego dłoni, wprost we wzburzoną wodę.

Reece wylądował na drugim brzegu i przetoczył się po ziemi. Poderwał się na nogi, gotów pospieszyć na powrót w stronę wody – lecz nim zdążył zareagować, Conven wypuścił się z grupy, rzucił się naprzód i skoczył głową do przodu w rwącą rzekę.

Reece i pozostali przyglądali się z zapartym tchem. Reece zastanawiał się, czy Conven był w istocie tak odważny? Czy też lgnął do śmierci?

Conven bez cienia strachu pokonywał rwący nurt. Dotarł do Kroga, jakimś cudem nie pogryziony przez te stwory, i schwycił go, młóćącego wokoło rękoma. Zarzucił rękę dokoła jego ramienia i utrzymywał go na powierzchni. Conven ruszył pod prąd, zmierzając ku brzegowi.

Nagle Krog wrzasnął:

– MOJA NOGA!

Wykręcił się z bólu, gdy jeden z Fourenów, którego żółte łuski połyskiwały w wodzie, wgryzł się w jego nogę. Conven płynął i płynął, aż w końcu zbliżył się do brzegu, a Reece i pozostali schwycili ich i wyciągnęli. Wtem ławica Fourenów wyskoczyła za nimi w powietrze, a Reece i reszta odepchnęli je.

Krog młócił dokoła rękoma, a spojrzawszy w dół Reece spostrzegł, że Fouren wciąż tkwi w jego nodze; Indra dobyła swego sztyletu, pochyliła się i zatopiła go w udzie Kroga, odrywając zwierzę. Krog wrzasnął, a Fouren rzucając się upadł na brzeg, a następnie na powrót do wody.

– Nienawidzę cię! – wycodził do niej Krog przez zęby.

– I dobrze – odrzekła Indra, nie przejawsz się zbytnio.

Reece spojrział na Convena, który stał przed nim, ociekając wodą. Był pełen podziwu dla jego nieustraszoneści. Conven patrzył na niego z kamiennym wyrazem twarzy i Reece ze zdumieniem zauważył, iż w jego ramię wgryzł się Fouren, trzepoczący w powietrzu. Reece z niedowierzaniem patrzył, jak Conven spokojnie, niespiesznie sięga do niego, odrywa i wrzuca na powrót do wody.

– Nie sprawiło ci to bólu? – spytał skołowany Reece.

Conven wzruszył ramionami.

Reece nigdy nie troskał się o Convena tak bardzo, jak teraz; choć podziwiał jego odwagę, nie mieściło mu się w głowie, iż był tak nierozważny. Bez chwili zastanowienia skoczył prosto w ławicę przeraźliwych stworzeń.

Setki Fawów zatrzymały się po drugiej stronie rzeki, patrząc za nimi rozwścieczone i szczękając zębami.

– Teraz już – rzekł O'Connor. – Nic nam nie grozi.

Centra pokręcił głową.

– Teraz – owszem. Lecz Fawowie są sprytni. Wiedzą, że rzeka zakręca. Obiorą dłuższą drogę, obiegną, znajdą przejście. Niebawem zjawia się po naszej stronie. Nie mamy wiele czasu. Musimy ruszać dalej.

Pobiegli za Centrą, który prowadził ich przez egzotyczne ziemie, przez pola błotne, pomiędzy wybuchającymi gejzerami.

Biegli i biegli, aż wreszcie mgła uniosła się i Reece uradował się ujrzawszy przed nimi ścianę Kanionu, jego połyskujący kamień. Podniósł wzrok. Ściany urwiska zdały mu się nieprawdopodobnie wysokie. Nie wiedział, jakim sposobem zdołają się po nich wspiąć.

Reece stał u boku pozostałych i przerażony patrzył w górę. Ściana zdała mu się teraz jeszcze bardziej olbrzymia niż wtedy, gdy schodzili. Rozejrzał się na boki, ujrzał, iż wszyscy są wyczerpani i zamyślił się nad tym, jakim sposobem mieliby się po niej wspiąć. Każdy z nich był wycieńczony, poobijany, znużony walką. Dłonie i stopy mieli pocierane. Jakim sposobem mieliby wspiąć się w górę, gdy całe siły spożytkowali, schodząc tutaj?

– Nie podołam – wydyszał Krog łamiącym się głosem.

Reece czuł to samo, choć nie przyznał tego.

Byli osaczeni. Pozostawili Fawów w tyle, lecz nie na długo. Niebawem odnajdą ich i wszyscy padną z ręki przewyższającego ich liczebnie wroga. Cała ta ciężka praca, cały ich wysiłek – wszystko na próżno.

Reece nie chciał tutaj ginąć. Nie w tym miejscu. Jeśli miał stracić życie, pragnął, by stało się to tam, na górze, na jego ziemi, z Selese u boku. Gdyby tylko mógł otrzymać jeszcze jedną szansę, by wymknąć się przeciwnikowi.

Reece usłyszał przeraźliwy dźwięk i obejrzawszy się ujrzał Fawów, może ze sto jardów od nich. Stwory w sile tysięcy okrążyły już rzekę i szybko zmniejszały dzielącą ich odległość.

Wszyscy wyciągnęli swą broń.

– Nie mamy dokąd uciec – rzekł Centra.

– Będziemy zatem walczyć na śmierć i życie! – zawołał Reece.

– Reece! – rozległ się głos.

Reece podniósł wzrok ku ścianie Kanionu, a gdy kłęby mgły rozrzedziły się, zobaczył twarz, którą z początku wziął za zjawę. Nie mógł w to uwierzyć. Tam, nad sobą, ujrzał kobietę, o której właśnie myślał.

Selese.

Cóż ona tutaj robiła? Jak tutaj dotarła? I kim była kobieta, która jej towarzyszyła? Wyglądała jak Illepra, królewska uzdrowicielka.

Zwieszały się na ścianie urwiska na długiej, grubej linie, oplatającej je w pasie i wokół dłoni. Schodziły w dół szybko, po długiej, grubej linie, takiej, która nie wyslizgiwała się z rąk. Selese przechyliła się i zrzuciła resztę w dół, a ta opadła dobre pięćdziesiąt stóp, niby manna z nieba, i wylądowała pod stopami Reece'a.

To była ich droga powrotna.

Nie zawahali się. Rzucili się w jej kierunku i po kilku chwilach wspinali się już tak szybko, jak tylko mogli. Reece pozwolił, by wszyscy poszli przed nim, a gdy wskoczył na linę jako ostatni, wspiął się i wciągnął ją za sobą, tak by Fawowie nie mogli jej dosięgnąć.

Gdy lina była już w górze, nadbiegli Fawowie, wyciągając ku nim ręce i podskakując, by schwycić stopy Reece'a. Niewiele brakowało, lecz Reece'owi udało się im wymknąć.

Reece zatrzymał się, gdy zrównał się z Selese, która czekała na niego na występie skalnym; nachylił się i pocałowali się.

– Kocham cię – rzekł Reece, a całe jego jestestwo wypełnione było miłością do niej.

– A ja ciebie – odrzekła.

Odwrócili się i ruszyli w górę ściany Kanionu wraz z innymi. Wspinali się coraz wyżej i wyżej. Wkrótce znajdą się w domu. Reece nie mógł w to uwierzyć.

W domu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Alistair biegła pędem przez pole bitwy, na którym panował chaos, przemykając pomiędzy żołnierzami, toczącymi zażarty bój z armią nieumarłych powstającą dokoła nich. Żołnierze zabijali upiory – a upiory zabijały żołnierzy, i powietrze wypełnione było jękami i krzykami. Gwardzistom, MacGilom i silesianom nie brak było odwagi – lecz stawali naprzeciw znacznie liczniejszego przeciwnika. Na miejsce każdego zabitego nieumarłego pojawiało się trzech kolejnych. Alistair spostrzegła, iż to tylko kwestia czasu, nim wszyscy jej ludzie zostaną starci w proch.

Zdwoiła tempo i pędziła co tchu, aż bolały ją płuca. Uchyliła się, gdy jeden z nieumarłych zamierzył się na jej twarz i krzyknęła, gdy inny drasnął ją w ramię, aż z rany dobyła się krew. Nie zatrzymywała się, by stanąć z nimi do walki. Nie było na to czasu. Musiała odnaleźć Argona.

Zmierzała w kierunku miejsca, w którym ostatnio go widziała, gdy po walce z Rafim osunął się na ziemię z wysiłku. Modliła się, by nie okazało się, że go to zabiło, by mogła go dobudzić i by zdołała to uczynić, nim ona i wszyscy jej ludzie zginą.

Nagle drogę zastąpił jej kolejny nieumarły i Alistair wyciągnęła przed siebie dłoń; posłana przez nią biała kula światła uderzyła go w pierś, aż poleciał na plecy.

Stanęło przed nią kolejnych pięć potworów i Alistair wyciągnęła dłoń – jednak tym razem zdołała posłać tylko jedną kulę światła i pozostałe cztery stwory ruszyły na nią. Ze zdumieniem spostrzegła, iż jej moce są ograniczone.

Alistair przygotowała się na atak, gdy stwory zbliżały się – lecz wtem jej uszu dobiegło warczenie i obejrawszy się ujrzała Krohna, skaczącego obok niej i zatapiającego kły w ich gardłach. Nieumarli zwrócili się w jego kierunku i Alistair dojrzała szansę, by się im wymknąć. Buchnęła łokciem jednego z nich, przewracając go, i ruszyła przed siebie.

Zrozpaczona Alistair torowała sobie drogę przez panujący na polu bezład. Upiorów przybywało z każdą chwilą i jej ludzie byli odpierani. Unikając ciosów i lawirując pomiędzy walczącymi, wyłoniła się wreszcie na niewielkim placu, miejscu, w którym – jak pamiętała – widziała Argona.

Alistair rozejrzała się uważnie po ziemi, zrozpaczona, i w końcu pomiędzy trupami spostrzegła go. Leżał skulony na ziemi, w miejscu, gdzie opadł z sił, na niewielkim placu. Najwyraźniej rzucił jakieś zaklęcie, by trzymać innych z dala od siebie. Był nieprzytomny i Alistair spiesząc do niego modliła się, by nadal żył.

Zbliżywszy się, Alistair poczuła, iż osnuwa ją magiczna bańka ochronna. Przyklękła przy Argonie i odetchnęła, wreszcie bezpieczna przed bojem, który toczył się dokoła niej, znajdując wytchnienie w oku cyklonu.

Przeszył ją jednak także lęk, gdy spojrzała na czarnoksiężnika: leżał z zamkniętymi oczyma i nie oddychał. Ogarnęła ją panika.

– Argonie! – zawołała, potrząsając nim za ramiona, drżąc. – Argonie, to ja! Alistair! Przebudź się! *Musisz się przebudzić!*

Argon leżał, nie reagując, a dokoła niej bitwa gorzała coraz zacieklejsza.

– Argonie, proszę! Jesteś nam potrzebny. Nie potrafimy zwyciężyć magii Rafiego. Nie posiadamy twych umiejętności. Proszę, powróć do nas. Uczyni to dla Kręgu. Dla Gwendolyn. Dla Thorgrina.

Alistair potrząsnęła nim, lecz czarnoksiężnik nadal nie reagował.

Była zrozpaczona. Wtem nagle coś przyszło jej do głowy. Złożyła obie dłonie na jego piersi, zamknęła oczy i skupiła się. Przyzywała całą wewnętrzną energię, która jeszcze jej pozostała i poczuła, jak po jej dłoniach z wolna rozchodzi się ciepło. Gdy podniosła powieki, ujrzała, że z jej dłoni emanuje błękitne światło, które rozpościera się nad piersią i ramionami Argona. Niebawem osnuło całą jego sylwetkę. Alistair używała pradawnego zaklęcia, którego niegdyś nauczyła się, by

przywracać chorych do zdrowia. Wykańczało ją to i czuła, jak opuszczają ją siły. Słabnąc, myślała o tym, by Argon powrócił.

Alistair osunęła się, wycieńczona wysiłkiem, i legła u jego boku, zbyt słaba, by choćby się poruszyć.

Wtem wyczuła jakiś ruch i obróciwszy się ku swemu zdumieniu ujrzała, iż Argon zaczyna się poruszać.

Usiadł i obrócił się do niej, a jego oczy błyszczały tak silnie, że aż się przestraszyła. Wpatrywał się w nią z kamienną twarzą, a następnie wyciągnął rękę, schwycił swą laskę i podniósł się. Wyciągnął jedną dłoń, schwycił jej rękę i bez wysiłku szarpnięciem postawił ją na nogi.

Gdy trzymał jej dłoń, czuła, jak wracają jej siły.

– Gdzie on jest? – spytał Argon.

Nie czekał na odpowiedź; jak gdyby wiedząc dokładnie, w którym kierunku musi się udać, odwrócił się i z laską w dłoni ruszył prosto w wir bitwy.

Alistair nie pojmowała, jak Argon mógł nie zawahawszy się wkroczyć pomiędzy żołnierzy. Lecz po chwili to pojęła: był w stanie utworzyć dokoła siebie magiczną bańkę i choć nieumarli nacierali zewsząd, żaden z nich nie był w stanie się przez nią przedrzeć. Alistair trzymała się blisko niego, a on szedł bezpiecznie, nieustraszenie przez gęstwą żołnierzy, jak gdyby przechadzał się po łące w rozśłoneczniony dzień.

We dwoje przemierzali pole bitwy. Argon milczał, krocząc przed siebie, odziany w swą długą białą pelerynę, z kapturem nasuniętym na głowę. Szedł tak szybko, że Alistair ledwie była w stanie dotrzymać mu kroku.

Zatrzymał się wreszcie pośrodku bitwy, na pustym placu, na którego przeciwnym krańcu stał Rafi. Rafi wyciągał nadal obie ręce na boki, wywróciwszy oczy, i przyzywał tysiące nieumarłych, którzy wyłaniali się z rozpadliny w ziemi.

Argon uniósł dłoń wysoko, ponad głowę, i skierował ją wewnętrzną stroną ku górze, w kierunku nieba. Rozwarł szeroko oczy.

– RAFI! – rzucił prowokującym tonem.

Mimo hałasu głos Argona przedarł się przez walczących mężczyzn, i rozbrzmiał aż pod wzgórzami.

Gdy Argon wrzasnął, chmury wysoko na niebie nagle rozstały się. Z nieba wprost na jego dłoń spłynął promień białego światła, jak gdyby tworząc pomost pomiędzy nim a samymi niebiosami. Strumień światła stawał się coraz szerszy i szerszy, niczym trąba powietrzna, osnuwając pole bitwy, osnuwając wszystko wokół niego.

Zerwał się porywisty wiatr i rozległ głośny świst. Alistair z niedowierzaniem spostrzegła, że ziemia pod nią poczyną trząść się jeszcze gwałtowniej, a ogromna rozpadlina zaczyna przesuwac się w przeciwnym kierunku, z wolna zamykając się.

Dwie części ziemi poczęły zbliżać się ku sobie, miażdżąc tuziny nieumarłych, którzy z wrzaskiem usiłowali wypełznąć na zewnątrz.

Po chwili setki nieumarłych spadły na powrót w otchłań ziemi, a otwór stawał się coraz węższy.

Ziemia zatrzęsała się po raz ostatni i zaległa cisza, gdy rozpadlina wreszcie połączyła się i ziemia powróciła do poprzedniego stanu, jak gdyby nigdy nie było tam najmniejszej szczeliny. Straszliwe, stłumione wrzaski nieumarłych poniosły się w powietrzu.

Nastąpiła pełna zdumienia cisza, chwilowa przerwa w bitwie, gdy wszyscy stanęli w bezruchu i przyglądali się.

Rafi wrzasnął, odwrócił się i utkwiał spojrzenie w Argonie.

– ARGONIE! – krzyknął.

Nadszedł czas, by dwaj wielcy tytani zmierzyli się ze sobą.

Rafi wybiegł na plac, trzymając swą czerwoną laskę wysoko w górze, a Argon nie zawahał się i ruszył na spotkanie z nim.

Zmierzyli się pośrodku. Każdy z nich trzymał swą laskę uniesioną wysoko nad głową. Rafi zamachnął się na Argona, a ten uniósł laskę i zablokował uderzenie. Wokoło poniosło się białe światło, niby skry, gdy się zetknęli. Argon oddał cios, a Rafi go zablokował.

Przesuwali się to w jedną stronę, to w drugą, oddając cios za cios, atakując, blokując, a dokoła rozchodziło się białe światło. Ziemia drżała przy każdym ich uderzeniu i Alistair wyczuwała w powietrzu bezmierną energię.

Wreszcie Argon natrafił na sposobność i zamachnął się laską od dołu, roztrzaskując laskę Rafiego.

Ziemia zatrzęsała się gwałtownie.

Argon dał krok naprzód, uniósł laskę wysoko nad głowę w obu dłoniach i zatopił ją w dół, prosto w pierś Rafiego.

Rafi wydał z siebie okropny wrzask, a z jego szeroko rozwartych ust wyleciały tysiące niewielkich nietoperzy. Niebiosa na chwilę zaciągnęły się czernią i gęste, ciemne chmury zebrały się nad głową Rafiego. Tworząc wir, przemieściły się w dół, ku ziemi. Pochłoneły go w całości, a Rafi zawył, przecinając powietrze, niesiony w górę, ku niebiosom, zmierzając ku jakiemuś okropnemu losowi, którego Alistair wołała sobie nie wyobrażać.

Argon stał bez ruchu, dysząc ciężko. Wokoło wreszcie zaległa cisza. Rafi był martwy.

Armia nieumarłych poczęła z krzykiem rozpadać się, jeden po drugim, na oczach Argona, i każdy z nich legł jako góra popiołu. Pole bitwy szybko zapełniło się tysiącami takich gór. Jedynie to pozostało po mrocznych zakłęciach Rafiego.

Alistair rozejrzała się po bitewnym polu i spostrzegła, iż tylko jedna walka nie została jeszcze stoczona: po drugiej stronie placu jej brat, Thorgrin mierzył się z ich ojcem, Andronicusem. Wiedziała, iż w nadchodzącej bitwie jeden z tych zdeterminowanych mężów straci życie: jej brat lub ojciec. Modliła się, by to jej brat wyszedł z niej bez szwanku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Luanda leżała na ziemi u stóp Romulusa, przyglądając się z przerażeniem, jak tysiące żołnierzy imperialnych wlewają się na most i krzyczą triumfalnie, wdzierając się do Kręgu. Najeżdżali jej ziemie ojczyste, a ona nie mogła temu zaradzić, siedziała jedynie bezradnie i zastanawiała się, czy jakimś sposobem to wszystko jej wina. Nie potrafiła się powstrzymać od wrażenia, iż jakimś sposobem jest odpowiedzialna za to, że Tarcza opadła.

Luanda odwróciła się i spojrzała w stronę horyzontu. Ujrzała niekończące się zastępy okrętów imperialnych i wiedziała, iż wkrótce do Kręgu będą napływały już nie tysiące, a miliony wojowników. Jej ludzie zostaną rozgromieni; Krąg zostanie rozgromiony. Wszystko już przepadło.

Luanda przymknęła powieki i raz po raz potrzasała głową. Niegdyś była tak wściekła na Gwendolyn, na swego ojca, że z przyjemnością przyglądałaby się zniszczeniu Kręgu. Lecz od czasu zdrady Andronicusa i tego, jak ją potraktował, tego, jak ogolił jej głowę, pobił na oczach swych ludzi, miała już odmienne zdanie. Zdała sobie sprawę, jak bardzo nie miała racji, jak bardzo naiwna była, pnąc się ku władzy. Teraz oddałaby wszystko, byle odzyskać swe dawne życie. Teraz pragnęła jedynie życia wypełnionego spokojem i zadowoleniem. Nie łaknęła już ambicji, nie dążyła do władzy; teraz pragnęła jedynie przeżyć i naprawić dawne krzywdy.

Lecz gdy przyglądała się temu wszystkiemu, Luanda pojęła, iż jest już za późno. Teraz zbliżał się kres jej umiłowanej ojczyzny, a ona nie potrafiła temu zaradzić.

Luanda usłyszała okropny odgłos, jakby śmiech połączony w jedno z warczeniem, a gdy podniosła wzrok, ujrzała stojącego nad nią Romulusa. Rękoma wsparł się pod boki i przyglądał się temu wszystkiemu, a na jego twarzy królował szeroki uśmiech zadowolenia, który odsłaniał jego nierówne zęby. Odrzucił głowę w tył i długo śmiał się w euforii.

Luanda żądna była jego śmierci; gdyby miała sztylet w dłoni, zatopiłaby go w jego sercu. Jednakże znając go, wiedząc, jak potężnie jest zbudowany, jak odporny jest na wszystko, pomyślała, że sztylet najpewniej nawet nie przeciąłby skóry.

Romulus spojrzał na nią i jego uśmiech ustąpił miejsca grymasowi.

– A teraz – rzekł. – Nadszedł czas, by zabić cię, i to powoli.

Luanda usłyszała charakterystyczny szczęk i patrzyła, jak Romulus dobywa broni zatkniętej za pasem. Wyglądała jak krótki miecz, lecz zwężała się i kończyła długim, wąskim punktem. Była to niecna broń, wyraźnie przeznaczona do zadawania tortur.

– Teraz zadam ci dużo bólu – rzekł.

Opuścił broń, a Luanda uniosła ręce do twarzy, jak gdyby chciała to wszystko wyprzeć. Zamknęła oczy i wrzasnęła.

Wtem nastąpiło coś dziwnego: gdy Luanda wrzasnęła, zawtórował jej ryk jeszcze głośniejszy. Był to wrzask zwierza. Potwora. Pierwotny ryk, głośniejszy i niosący się dalej niż wszystko, co dotychczas słyszała. Był niby grom rozdzierający niebo wpół.

Luanda otworzyła oczy i uniosła wzrok ku niebu, zastanawiając się, czy wyobraźnia płata jej figle. Brzmiał jak krzyk samego Boga.

Romulus, podobnie zadziwiony, uniosł wzrok ku niebu, skołowany. Po wyrazie jego twarzy Luanda poznała, iż on także to usłyszał; nie wyśniła sobie tego.

Po pierwszym ryku rozbrzmiał drugi, straszniejszy jeszcze niż poprzedni, tak dziki, tak potężny, iż Luanda pojęła, że mógł się dobyć z gardła jednego tylko stwora.

Smoka.

Gdy nieboskłon rozstąpił się, Luanda oniemiała z wrażenia na widok dwóch ogromnych smoków szybujących wysoko nad nimi. Były to największe i najstraszniejsze stworzenia, jakie kiedykolwiek widziała. Przysłaniały słońce, czyniąc z dnia noc, rzucając cień na nich wszystkich.

Broń Romulusa wysunęła mu się z dłoni, a usta rozwarły w szoku. Najwyraźniej i on nie widział nigdy niczego podobnego do tych smoków, lecących nisko nad ziemią, ledwie dwadzieścia stóp nad ich głowami, tak, że nieomal się o nich otarli. Ich wielkie pazury zwieszały się nisko i ryknawszy ponownie, smoki wygięły grzbiety w pałąk i rozpostarły szeroko skrzydła.

Z początku Luanda skuliła się, zakładając iż to po nią przybyły. Jednakże gdy patrzyła, jak lecą nad nimi tak żywo, gdy poczuła, jak podmuch wiatru wzbudzony ich skrzydłami ją przewraca, pojęła, iż zmierzają gdzie indziej: za Kanion. Do Kręgu.

Smoki musiały ujrzyć żołnierzy wlewających się do Kręgu i pojęły, że Tarcza opadła. Musiały pojąć, iż to także ich szansa na to, by dostać się do Kręgu.

Luanda patrzyła jak urzeczona, jak jeden ze smoków nagle otwiera paszczę, rzuca się w dół i pluje strumieniem ognia w znajdujących się na moście mężczyzn.

Rozległy się krzyki tysięcy żołnierzy imperialnych i poniosły aż pod nieboskłon, gdy pochłonęła ich ogromna ściana ognia.

Smoki poleciały dalej. Ziały ogniem, gdy przelatywały nad mostem, spalając wszystkich ludzi Romulusa. Pofrunęły następnie do Kręgu, plując płomieniami i unicestwiając każdego imperialnego męża, który się tam znalazł, wzbudzając kolejne fale zniszczenia.

Ani się obejrzeni, a na moście ani w Kręgu nie pozostał choćby jeden imperialny żołnierz.

Ci, którzy zmierzali w kierunku mostu i zamierzali go przekroczyć, zatrzymali się raptownie. Nie odważyli się wejść. Miast tego odwrócili się i puścili biegiem przed siebie, kierując się z powrotem ku okrętom.

Romulus obrócił się i patrzył wzburzony na swych uciekających ludzi.

Luanda siedziała zaszokowana i pojęła, iż to jej szansa. Coś innego zajmowało teraz Romulusa, który odwrócił się i pognał za swymi ludźmi, usiłując zawrócić ich w stronę mostu. Była to chwila, na którą czekała.

Z tłukącym się w piersi sercem Luanda skoczyła na nogi, odwróciła się i puściła biegiem w stronę mostu. Wiedziała, iż ma jedynie kilka krótkich chwil; jeśli dopisze jej szczęście, może – *może* – nim Romulus się spostrzeże, zdoła odbiec wystarczająco daleko, by dotrzeć na drugą stronę. A jeśli dotrze na drugą stronę, być może jej obecność tam przywróci Tarczę.

Musiała podjąć tę próbę. Wiedziała, iż musi to uczynić teraz albo nigdy.

Luanda biegła i biegła, oddychając tak szybko, że niemal nie była w stanie zebrać myśli, a nogi jej drżały. Potykała się, nogi jej były jak z ołowiu, a w gardle zasychało. Biegając, młóciła rękoma dokoła, a zimny wiatr muskał jej ogoloną głowę.

Biegła coraz szybciej i szybciej, aż usłyszała swe tłukące się w piersi serce i własny oddech, a wszystko wokół stało się niewyraźne. Pokonała dobre pięćdziesiąt jardów mostu, nim usłyszała pierwszy krzyk.

Romulus. Najwyraźniej ją spostrzegł.

Nagle za jej plecami rozległ się odgłos pędzących jeźdźców, przemierzających most w pogoni za nią.

Luanda parła do przodu i przyspieszyła jeszcze, słysząc zbliżających się mężczyzn. Biegła między ciałami żołnierzy Imperium, spalonymi przez smoki. Niektóre z nich wciąż płonęły. Luanda robiła co tylko w jej mocy, by je omijać. Odgłos pędzących za nią koni przybrał jeszcze na sile. Obejrzała się przez ramię, ujrzała uniesione wysoko włócznie i wiedziała, iż tym razem Romulus zamierza ją ukatrupić. Wiedziała, iż za kilka krótkich chwil te włócznie utkwą w jej plecach.

Luanda spojrzała przed siebie i ujrzała ziemię Kręgu ledwie kilka stóp przed sobą. Gdyby tylko zdołała tam dobiec. Jeszcze dziesięć stóp. Gdyby tylko mogła przekroczyć granicę być może, łudziła się, Tarcza podniosłaby się i ocaliła ją.

Mężczyźni przyspieszyli, gdy Luanda stawiała ostatnie kroki na moście. Odgłos galopujących koni ogłuszał ją, czuła pot koni i mężczyzn. Skuliła się, spodziewając się, iż lada chwila jedna z włóczni przebije jej plecy. Brakowało im do niej kilku stóp. Lecz jej brakowało tyle samo do Kręgu.

Doprowadzona do rozpaczyny Luanda rzuciła się przed siebie, gdy ujrzała za plecami żołnierza unoszącego w dłoni włócznie. Uderzyła o ziemię z łoskotem. Kątem oka spostrzegła włócznie przecinającą powietrze, zmierzającą wprost na nią.

Lecz gdy tylko Luanda przekroczyła granicę, gdy wylądowała na ziemi Kręgu, nagle Tarcza ponownie uniosła się za nią. Znajdująca się o cale za nią włócznia rozbryznięła się w powietrzu. Wszyscy żołnierze na moście za nią krzyknęli, unosząc dłonie do twarzy. Stanęli w płomieniach i rozpadli się.

Po chwili pozostały po nich jedynie górki popiołu.

Po drugiej stronie mostu stał Romulus, przyglądając się wszystkiemu. Wrzeszczał i bił się w pierś. Był to krzyk pełen rozpaczyny. Krzyk kogoś, kto został pokonany. Przechytrzony.

Luanda leżała na ziemi, dysząc ciężko, zaszokowana. Nachyliła się i ucałowała ziemię, na której leżała, po czym odrzuciła głowę w tył i roześmiała się w zachwycie.

Udało jej się. Była bezpieczna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Thorgrin stał na placu naprzeciw Andronicusa, otoczony obiema armiami. Nikt się nie poruszał, wszyscy przyglądali się jedynie, jak ojciec i syn raz jeszcze stają naprzeciw siebie. Andronicus stał w całej swej okazałości, górując nad Thorem wzrostem, dzierżąc w jednej dłoni ogromny topór, a w drugiej miecz. Stanąwszy naprzeciw niego, Thor zmusił się, by oddychać spokojnie, głęboko, by panować nad emocjami. Musiał zachować przytomny umysł, skupić się podczas walki z tym mężczyzną, tak samo, jak gdyby walczył z każdym innym wrogiem. Musiał wmówić sobie, iż nie stawał naprzeciw swego ojca, lecz największego przeciwnika. Mężczyzny, który skrzywdził Gwendolyn; który skrzywdził wszystkich jego ziomków; mężczyzny, który przejął kontrolę nad jego umysłem. Mężczyzny, który zasłużył sobie na śmierć.

Rafi nie żył, Argon odzyskał władzę, wszystkie nieumarłe stwory znalazły się znów pod powierzchnią ziemi i nie można było odwlekać już tego starcia, potyczki Andronicusa z Thorgrinem. Była to bitwa, która miała zadecydować o losach toczącej się wojny. Thor nie pozwolił mu się wymknąć, nie tym razem. Andronicus, przyparty do muru, wreszcie zdawał się gotów zmierzyć ze swym synem.

– Thornicusie, jesteś mym synem – rzekł Andronicus niskim głosem, a jego słowa poniosły się po polu bitwy. – Nie chcę wyrządzić ci krzywdy.

– Lecz ja chcę wyrządzić krzywdę tobie – odrzekł Thor, nie pozwalając swemu ojcu wciągnąć się w gierki umysłowe.

– Thornicusie, synu mój – powtórzył Andronicus. Thor ostrożnie dał krok naprzód. – Nie chcę cię zabić. Złóż oręż i dołącz do mnie. Dołącz do mnie, jak uprzednio. Jesteś mym synem. Nie *ich* synem. W twoich żyłach płynie moja krew, nie ich. Moja ojczyzna jest także twoją; Krąg jest dla ciebie jedynie przybranym domem. Wywodzisz się z *meo* ludu. Ci ludzie nic dla ciebie nie znaczą. Powrót do domu. Powrót do Imperium. Pozwól mi być ojcem, którego zawsze pragnąłeś mieć. I stań się synem, którym zawsze pragnąłem, byś był.

– Nie zamierzam z tobą walczyć – rzekł w końcu Andronicus, opuściwszy swój topór.

Thor nie miał ochoty dłużej go słuchać. Musiał wykonać teraz jakiś ruch, by nie zezwolić temu potworowi zawładnąć swym umysłem.

Thor wydał z siebie okrzyk bitewny, uniósł wysoko miecz i natarł, opuszczając go oburącz na głowę Andronicusa.

Andronicus wpatrywał się w niego zdumiony i w ostatniej chwili pochylił się, schwycił topór z ziemi, uniósł go i zablokował cios Thora.

Wokoło miecza posypały się iskry, gdy ich bronie zetknęły się. Byli ledwie cale od siebie i obaj jęknęli, gdy Andronicus parował cios Thora.

– Thornicusie – wydusił Andronicus. – Twa siła jest wielka. Lecz to *moja* siła. Ode mnie ją otrzymałeś. Moja krew płynie w twoich żyłach. Przerwij ten oblęd i dołącz do mnie!

Andronicus odepchnął Thora, a ten zatoczył się kilka kroków w tył.

– Nigdy! – krzyknął Thor wyzywającym tonem. – Nigdy do ciebie nie powrócę. Nie jesteś mi ojcem. Jesteś obcy. Nie zasługujesz na to, by być mym ojcem!

Thor natarł ponownie, krzycząc, i opuścił miecz. Andronicus zablokował uderzenie, a Thor, przewidziawszy ten ruch, okręcił się szybko z mieczem i ciął go w ramię.

Andronicus wrzasnął, a z rany trysnęła krew. Zatoczył się i obrzucił Thora niedowierzającym spojrzeniem, przykładając do rany dłoń i przyglądając się krwi na palcach.

– Zamierzasz mnie zabić – powiedział Andronicus, jak gdyby po raz pierwszy to pojął. – Po wszystkim, co dla ciebie uczyniłem.

– W rzeczy samej – odrzekł Thorgrin.

Andronicus spojrzał na niego bacznie, jak gdyby patrzył na nową osobę, i wyraz jego twarzy szybko zmienił się z zadziwienia i rozczarowania w gniew.

– Nie jesteś zatem mym synem! – wykrzyknął. – Wielki Andronicus nie prosi dwa razy!

Andronicus cisnął na ziemię miecz i uniósł oburącz topór bojowy, wydał głośny okrzyk bitewny i zaszarżował na Thora. Bitwa wreszcie się rozpoczęła.

Thor uniósł miecz, by zablokować cios, lecz ten zadany został z taką siłą, że ku zdumieniu Thora, jego miecz roztrzaskał się na dwoje.

Thor zareagował szybko i usunął się z drogi, unikając spadającego ciosu; ostrze przeleciało obok, omijając go o cal. Topór spadł tak blisko, że Thor poczuł, jak wywołany przez niego podmuch wiatru ociera się o jego ramię. Jego ojca cechowała olbrzymia siła, większa niż któregośkolwiek z wojowników, z którymi toczył boje. Thor wiedział, iż nie będzie to łatwa walka. Jego ojciec była także szybki – śmiercionośne połączenie. A teraz Thor pozostał bez broni.

Andronicus bez wahania zamachnął się raz jeszcze na boki, zamierzając przeciąć Thora wpół.

Thor skoczył w górę, wysoko nad głową Andronicusa, i wykonał przewrót w powietrzu. Użył swych wewnętrznych mocy, by pomogły mu, by wyniosły go wysoko i by mógł wylądować za Andronicusem. Skoczył na nogi, schylił się i schwycił z ziemi miecz swego ojca. Obrócił się raptownie i natarł, mierząc w plecy Andronicusa.

Lecz ku zaskoczeniu Thora Andronicus reagował tak szybko, że był już przygotowany do obrony. Obrócił się i zablokował cios. Thor poczuł, jak uderzenie metalu o metal rozchodzi się po jego ciele. Miecz Andronicusa przynajmniej przetrzymał cios; był mocniejszy niż jego. Dziwnie mu było trzymać miecz swego ojca – tym dziwniej, że walczył właśnie z nim.

Thor zamachnął się i ciął boki, mierząc w ramię Andronicusa. Andronicus parował cios i natarł na Thora.

Posuwali się to w jedną, to w drugą stronę, atakując i blokując, Thor odpierał Andronicusa i Andronicus odpierał Thora. Sypały się iskry, broń poruszała się szybko, połyskując w promieniach słonecznych, a jej szczęk niósł się po polu bitwy. Dwie armie przyglądały się jak urzeczone. Dwóch wielkich wojowników odpierało się wzajemnie tam i z powrotem przez pusty plac, i żaden z nich nie zyskiwał przewagi.

Thor uniósł miecz, by zadać kolejny cios, lecz tym razem Andronicus zaskoczył go, dając krok naprzód i kopiąc w pierś. Thor zatoczył się w tył i runął na plecy.

Andronicus rzucił się naprzód i opuścił topór. Thor usunął się z drogi, lecz niewystarczająco szybko: ostrze rozcięło jego biceps i pociekła z niego krew. Thor krzyknął, lecz nie zważając na to zamachnął się i ciął mieczem w łydkę Andronicusa.

Andronicus zachwiał się i wrzasnął, a Thor przetoczył się i stanął ponownie na nogi. Znowu stali naprzeciw siebie, obaj ranieni.

– Silniejszy jestem od ciebie, synu – rzekł Andronicus. – I stoczyłem więcej walk. Poddaj się. Twe druidzkie moce na mnie nie podziałają. Walka toczy się jedynie między mną a tobą, między dwoma mężczyznami, dwoma mieczami. A ja jestem lepszym wojownikiem. Wiesz o tym. Poddaj mi się, a nie zabiję cię.

Thor rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Nie poddam się nikomu! A z pewnością nie tobie!

Thor zmusił się, by myśleć o Gwendolyn, o tym, co uczynił jej Andronicus i jego gniew przybrał na sile. Nadeszła właściwa chwila. Thor był zdecydowany wykończyć Andronicusa raz na zawsze, posłać tę ohydłą kreaturę na powrót w piekielne otchłanie.

Zebrawszy resztkę sił rzucił się naprzód z głośnym krzykiem, wkładając w to całą energię. Siekł mieczem na prawo i lewo, machając tak szybko, iż ledwie był w stanie nim pokierować, a Andronicus blokował każdy cios, choć krok za krokiem Thor odpierał go. Walka trwała długo i Andronicus zdawał się być zdumiony, iż jego syn wykazuje się taką siłą, i przez tak długi czas.

Thor trafił na swą sposobność, gdy Andronicusowi na chwilę omdlało ramię. Zamachnął się na ostrze jego topora i bronie zetknęły się, a Thor zdołał wytrącić mu go z dłoni.

Zaszokowany Andronicus patrzył, jak jego broń leci w powietrzu, a wtedy Thor kopnął go w pierś, posyłając na plecy.

Nim zdołał się podnieść, Thor zbliżył się i postawił stopę na jego gardle. Przycisnął go do ziemi i stał, utkwivszy w nim wzrok.

Całe pole bitwy przypatrywało się jak urzeczone. Thor stał nad swym ojcem, przykładając czubek klingi do jego gardła.

Andronicus, któremu z ust sączyła się krew, uśmiechnął się, ukazując swe kły.

– Nie potrafisz tego uczynić, synu – rzekł. – W tym tkwi twa wielka słabość. W twej miłości do mnie. Ja także mam słabość do ciebie. Nigdy nie potrafiłem się zmusić, by cię uśmiercić. Ani teraz, ani całe twoje życie. Cała nasza bitwa jest daremna. Puścisz mnie wolno. Gdyż ty i ja jesteśmy jednym.

Thor stał nad nim, drżącymi dłońmi przyciskając czubek miecza do jego gardła. Z wolna uniośł go. Po części czuł, iż w słowach jego ojca kryje się prawda. Jak mógłby się zdobyć na to, by zabić własnego ojca?

Lecz gdy przypatrywał mu się, pomyślał o całym bólu, wszystkich zniszczeniach, jakie jego ojciec zadał wszystkim wokoło niego. Rozważył cenę pozostawienia go przy życiu. Cenę litości. Była to zbyt wysoka cena, nie tylko dla Thorgrina, lecz także dla każdego, kogo kochał i na kim mu zależało. Thor zerknął za siebie i ujrzał dziesiątki tysięcy żołnierzy imperialnych, którzy najechali jego ojczyznę, gotowych zaatakować jego ludzi. A ten człowiek był ich przywódcą. Thor winien to był swemu królestwu. I Gwendolyn. A nade wszystko – sobie. Może i ten człowiek był jego ojcem z krwi, lecz nic nadto. Nie był jego ojcem w żadnym innym znaczeniu tego słowa. A sama krew nie czyniła ojca.

Thor uniośł wysoko miecz i z głośnym krzykiem uderzył w dół.

Zamknął oczy, a gdy je otworzył, ujrzał miecz zatopiony w ziemi, tuż obok głowy Andronicusa. Thor pozostawił go tam i dał krok w tył.

Jego ojciec miał rację: nie był zdolny tego uczynić. Mimo wszystko nie potrafił się zmusić, by zabić bezbronnego człowieka.

Thor odwrócił się od ojca i stanął przodem do swych ludzi, do Gwendolyn. Wiadome było, iż wygrał bitwę. Dowiódł swego. Teraz Andronicus, o ile ma choć krztynę honoru, nie ma innego wyboru jak wrócić do Imperium.

– THORGRINIE! – krzyknęła Gwendolyn.

Thor odwrócił się i ze zdumieniem ujrzał topór Andronicusa zbliżający się w jego kierunku, wprost na jego głowę. Thor usunął się w ostatniej chwili i ostrze przecięło powietrze obok niego.

Andronicus był jednakże prędki – w tym samym ruchu zamachnął się rękawicą i uderzył Thora wierzchnią stroną dłoni w szczękę, aż ten przewrócił się na dłonie i kolana.

Thor poczuł mocne pęknięcie w żebrach, gdy Andronicus kopnął go w brzuch. Przeturlał się, z trudem chwytając powietrze.

Leżał na dłoniach i kolanach, z ust sączyła mu się krew i straszliwie bolały go żebra. Próbował zebrać w sobie siłę, by się podnieść. Kątem oka widział, jak Andronicus zbliża się do niego z szerokim uśmiechem na twarzy i obojgiem rąk unosi wysoko swój topór. Thor spostrzegł, iż mierzy, by odciąć mu głowę. W jego nabiegłych krwią oczach dojrzał, że nie okaże litości, jaką okazał Thor.

– Powinienem był to uczynić trzynaście lat temu – powiedział Andronicus.

Andronicus wydał z siebie głośny krzyk, opuszczając topór na odsłonięty kark Thora.

Thor nie zamierzał jednak poddać walki; zdołał dobyć resztki sił i mimo bólu zerwał się na nogi i ruszył na swego ojca. Rzucił się na niego, chwytając pod żebra, i powalił go w tył na ziemię.

Thor leżał na nim, przyciskając go do ziemi, gotując się do walki gołymi rękoma. Potyczka przerodziła się w mocowanie się. Andronicus wyciągnął dłoń i schwycił Thora za gardło, a Thora zaskoczyła jego siła; szybko poczuł, iż zaczyna brakować mu powietrza i dusi się.

Thor gorączkowo przesuwiał dłonią po swym pasie, szukając sztyletu. Królewskiego sztyletu, który ofiarował mu król MacGil przed śmiercią. Szybko tracił oddech i wiedział, iż jeśli wkrótce nie znajdzie swej broni, będzie martwy.

Znalazł go przy ostatnim oddechu. Uniósł broń wysoko i zatopił obiema dłońmi w piersi Andronicusa.

Andronicus wyprężył się raptownie, z trudem chwytając powietrze i wybałuszając oczy w przedśmiertnym spojrzeniu. Wyprostował się i dalej dusił swego syna.

Pozbawionemu tchu Thorowi pociemniało w oczach, jego ciało poczęło bezwładnie opadać.

Wreszcie uścisk Andronicusa z wolna rozluźnił się i jego ręce opadły na boki. Żrenice wyróciły mu się na bok i przestał się poruszać.

Leżał nieruchomo. Był martwy.

Thor z trudem złapał powietrze, odrywając bezwładną dłoń ojca od swego gardła, dysząc i kasłając. Zepchnął z siebie jego zwłoki.

Thor trząsł się na całym ciele. Właśnie zabił swego ojca. Nie sądził, że to możliwe. Rozejrzał się wokoło i ujrzał, że wojownicy obydwu armii przyglądają mu się w szoku. Thor poczuł, jak przez jego ciało przepływa fala ciepła, jak gdyby zaszła w nim jakaś głęboka przemiana, jak gdyby wyparł jakąś złą część siebie. Czuł, że jest inny, lepszy.

Thor usłyszał głośny dźwięk dochodzący z góry, niby gromu. Podniósłszy wzrok ujrzał niewielką czarną chmurę, która pojawiła się nad ciałem Andronicusa, i kłęb niewielkich czarnych cieni, niby demonów, opadł ku ziemi. Zawirowały wokół jego ojca z wyciem, otaczając go, po czym uniosły jego ciało wysoko w powietrze, coraz wyżej i wyżej, aż zniknęło w chmurze. Thor przyglądał się w szoku, zastanawiając się, do jakiego piekła poniosą duszę jego ojca.

Thor rozejrzał się i ujrzał stojącą naprzeciw niego armię Imperium, wiele dziesiątek tysięcy ludzi. W ich oczach malowała się żądza zemsty. Wielki Andronicus nie żył. Lecz jego ludzie wciąż tu byli. Na jednego wojownika Thora przypadało stu imperialnych. Wygrali bitwę, lecz niebawem mieli przegrać wojnę.

Erec, Kendrick, Srog i Bronson podeszli do Thora z mieczami w dłoniach i stanęli u jego boku, naprzeciw Imperium. Wzdłuż szeregów imperialnych rozszedł się dźwięk rogów i Thor gotował się, by raz jeszcze stanąć do walki. Wiedział, iż nie zwyciężą. Lecz przynajmniej polegną wszyscy razem, w wielkim uderzeniu, które przyniesie im chwałę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Reece szedł u boku Selese, Illepry, Eldena, Indry, O'Connora, Convena, Kroga i Serny. Maszerowali w dziewiątkę od wielu godzin, odkąd wydostali się z Kanionu. Kierowali się na zachód. Reece wiedział, iż gdzieś tam, za widnokregiem, byli jego ludzie, żywi lub martwi, i zamierzał ich odnaleźć.

Reece'a zaszokował widok ziem, które mijali – krajobrazu zniszczenia, bezkresnych pól wypełnionych zwęglonymi smoczym oddechem ciałami, na których żerowały ptaki. Tysiące imperialnych trupów stały się aż po horyzont, a niektóre z nich wciąż się tliły. Dym z ich ciał unosił się w powietrzu, a nieznosny swąd palonego mięsa przenikał zniszczone ziemie. Ten, który nie zginął od smoczego oddechu, poległ w walce przeciw Imperium – także MacGilowie i McCloudowie leżeli martwi, osady zostały zrównane z ziemią, a naokoło piętrzył się gruz. Reece pokręcił głową: te ziemie, niegdyś przebogate, zostały zniszczone wojną.

Odkąd wydostali się z Kanionu, Reece i reszta uparcie zmierzali ku swej ojczyźnie, na stronę Kręgu MacGilów. Nie mogąc znaleźć koni, pokonali pieszo ziemie należące do McCloudów i Pogórze, wyszli na drugą stronę i teraz wreszcie przemierzali tereny MacGilów, natykając się jedynie na spustoszone, zniszczone miasta. Poznał, iż smoki pomogły rozgromić imperialne wojska i za to Reece był im wdzięczny. Wciąż nie wiedział jednak, w jakim stanie odnajdzie swych ludzi. Czy wszyscy mieszkańcy Kręgu byli martwi? Jak na razie wszystko na to właśnie wskazywało. Reece gorąco pragnął dowiedzieć się, czy nikomu nic się nie stało.

Na każdym kolejnym bitewnym polu pełnym martwych i ranionych – na tych, które nietknięte były smoczymi płomieniami – Illepra i Selese chodziły od ciała do ciała, odwracały je i sprawdzały, czy ktoś przeżył. Kierowała nimi nie tylko ich profesja, Illepra miała także co innego na uwadze: odnaleźć brata Reece'a. Godfrey'a. Był to także cel Reece'a.

– Tu go nie ma – ogłosiła po raz kolejny Illepra, gdy w końcu wstała, odwróciwszy ostatnie zwłoki na polu. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

Reece widział, jak bardzo Illeprze zależy na jego bracie, i poruszyło go to. Żywił także nadzieję, iż nic mu nie jest i znajduje się nadal pośród żywych – lecz patrząc na tysiące ciał, miał złe przeczucie, iż jest inaczej.

Ruszyli w dalszą drogę. Minęli kolejne wzniesienie, kolejny łańcuch wzgórz i na widnokregu spostrzegli kolejne pole bitwy, zaścietlane tysiącami ciał. Skierowali się w jego stronę.

Idąc, Illepra łkała cicho. Selese położyła dłoń na jej nadgarstku.

– On żyje – zapewniła Selese. – Nie lękaj się.

Reece zrównał się z nią i pragnąc ją pocieszyć, współczująco położył dłoń na jej ramieniu.

– Jeśli jednej rzeczy można być pewnym co do mego brata – rzekł Reece. – To że potrafi przetrwać. Ze wszystkiego się wykaraska. Wymknie się nawet śmierci. Daję słowo. Godfrey jest już pewnie w jakiejś karczmie i się upija.

Illepra roześmiała się przez łzy i otarła je.

– Obyś się nie mylił – powiedziała. – Po raz pierwszy naprawdę żywię nadzieję, że tak właśnie jest.

Kontynuowali swą ponurą wędrówkę przez pustkowia w milczeniu, każde z nich pogrążone w swych własnych myślach. Reece'owi przez głowę przebiegały wspomnienia z Kanionu; nie potrafił ich wyprzeć. Myślał o tym, w jak rozpaczliwej sytuacji się znaleźli i wezbrała w nim wdzięczność dla Selese; gdyby nie zjawiała się wtedy, nadal byłiby na dole, z całą pewnością martwi.

Reece wyciągnął rękę, schwycił dłoń Selese i uśmiechnął się. Szli dalej, trzymając się za ręce. Reece'a poruszyły jej miłość i oddanie dla niego, to, że przemierzyła całe królestwo, by go ocalić. Wezbrała w nim miłość do niej i nie mógł się doczekać, aż zostaną sami, by jej o tym powiedzieć. Zdecydował już, iż chce być z nią na zawsze. Nikt nigdy nie był dla niego tak ważny i przyrzekł sobie,

iz gdy tylko zostaną sami, poprosi ją o rękę. Zamierzał ofiarować jej pierścień swej matki, ten, który dała mu, by wręczył go miłości swego życia, gdy ją odnajdzie.

– Nie mogę uwierzyć, że tylko przez wzgląd na mnie przemierzyłaś cały Krąg – rzekł do niej Reece.

Uśmiechnęła się.

– Droga nie była wcale taka długa – rzekła.

– Nie była długa? – spytał. – Zaryzykowałam swe życie, przekraczając rozdarłe wojną królestwo. Zaciągnąłem u ciebie dług. Większy, niż jestem w stanie wyrazić.

– Nie ma żadnego długu. Rada jestem, że żyjesz.

– Wszyscy zaciągnęliśmy u was dług – wtrącił Elden. – Ocaliłyście nas. Gdyby nie wy, utknęlibyśmy w czeluściach Kanionu na zawsze.

– Skoro o długach mowa, pragnę z tobą pomówić – powiedział Krog do Reece’a, zrównując się z nim, utykając. Odkąd Illepra unieruchomiła mu nogę na szczycie Kanionu, Krog mógł przynajmniej chodzić samodzielnie, choć nieco sztywno.

– Ocaliłeś mnie na dole, i to więcej niż raz – mówił dalej Krog. – Sądzę, że było to raczej niemądre. Lecz i tak to uczyniłeś. Nie myśl jednak, że zaciągnąłem u ciebie dług.

Reece pokręcił głową, zbity z tropu szorstkością Kroga i jego niezręczną próbą podziękowania mu.

– Nie wiem, czy usiłujesz mnie znieważyć, czy podziękować mi – rzekł Reece.

– Chadzam własnymi ścieżkami – powiedział Krog. – Od teraz będę cię chronił. Nie dlatego, że cię lubię, lecz dlatego, że czuję, iż powinienem.

Reece potrząsnął głową, jak zawsze skonsternowany przez Kroga.

– Nie martw się – rzekł Reece. – Ja ciebie także nie lubię.

Szli przed siebie, rozluźnieni, radując się, iż żyją, iż znajdują się nad ziemią, na powrót po tej stronie Kręgu – wszyscy poza Convenem, który siedł w milczeniu, z dala od innych, zamknawszy się w sobie, jak zawsze od czasu śmierci swego brata bliźniaka w Imperium. Nic, nawet wymknięcie się śmierci, nie pomogło mu się z tego otrząsnąć.

Reece przypomniał sobie jak tam, w dole, Conven po wielokroć rzucał się nierozważnie w niebezpieczeństwo, niemal tracąc życie, by ocalić pozostałych. Reece nie potrafił przestać się zastanawiać, czy nie brało się to z pragnienia śmierci bardziej niż z pragnienia pomocy innym. Martwił się o niego. Reece’owi nie podobało się, że był taki wyobcowany, że pograżał się w swym smutku.

Reece zrównał się z nim.

– Znakomicie walczyłeś tam na dole – powiedział Reece do niego.

Conven jedynie wzruszył ramionami i wbił wzrok w ziemię.

Reece łamał sobie głowę, co powiedzieć. Szli dalej w milczeniu.

– Radujesz się, że powróciłeś do domu? – spytał Reece. – Że jesteś wolny?

Conven obrócił się i spojrzał na niego obojętnie.

– Nie jestem w domu. I nie jestem wolny. Mój brat nie żyje. A ja nie mam prawa żyć bez niego.

Na dźwięk tych słów Reece’a przeszył dreszcz. Conven bez wątpienia był nadal pograżony w żalu; wręcz obnosił się z nim. Przypominał bardziej żywego trupa, z jego oczu wyzierała pustka. Reece przypomniał sobie, iż niegdyś były one wypełnione radością. Widział, iż żal Convena był głęboki i miał złe przeczucie, że nigdy się z niego nie otrząśnie. Zastanawiał się, co też stanie się z Convenem. Po raz pierwszy nie przychodziło mu do głowy nic pozytywnego.

Szli i szli, mijały kolejne godziny, aż dotarli do kolejnego pola bitwy, gęsto usłanego trupami. Illepra, Selese i pozostali rozdzielili się, chodząc od trupa do trupa, szukając najmniejszego choćby śladu Godfrey’a.

– Widzę tu znacznie więcej MacGilów – rzekła Illepra z nadzieją w głosie. – I ani śladu smoczego oddechu. Być może Godfrey tu jest.

Reece podniósł oczy i objął wzrokiem tysiące ciał, zastanawiając się, czy w ogóle go odnajdą, nawet jeśli w istocie tam jest.

Reece odłączył się od reszty i chodził od ciała do ciała, podobnie jak pozostali, przewracając każde z nich. Przyglądał się twarzom swych ludzi – niektóre z nich rozpoznawał, innych nie – ludzi, których znał i u boku których walczył, ludzi, którzy walczyli dla jego ojca. Reece nie mógł pojąć ogromu zniszczeniu, jakie spadło na jego ojczyznę, niby plaga, i żywił szczerą nadzieję, iż w końcu nastanie pokój. Widział już wystarczająco wiele bitew, wojen i trupów. Gotów był osiąść i wieść spokojne życie, powrócić do zdrowia i odbudować królestwo.

– TUTAJ! – krzyknęła Indra podnieconym głosem. Stała nad jakimś ciałem, wpatrując się w nie.

Illepra odwróciła się i podbiegła, a pozostali zebrali się wokoło. Illepra przyklękła przy ciele i zalała się łzami. Reece przyklękął obok niej i gwałtownie wciągnął powietrze, ujrawszy swego brata.

Godfrey.

W oczy rzucał się jego wielki, wystający brzuch, był nieogolony, oczy miał zamknięte i był niezwykle blady, a dłonie posiniały mu z zimna. Wyglądał, jakby był martwy.

Illepra pochyliła się i raz po raz potrząsała nim, lecz on nie reagował.

– Godfreyu! Proszę! Obudź się! To ja! Illepra! GODFREYU!

Potrząsała nim raz po raz, lecz on się nie budził. Wreszcie raptownie obróciła się do pozostałych, lustrując wzrokiem ich pasy.

– Twój bukłak z winem! – powiedziała do O’Connora.

O’Connor pogmerał przy pasie, odwiązał go szybko i podał Illeprze.

Chwyciła bukłak i trzymając nad twarzą Godfreya prysnęła na jego usta. Uniosła jego głowę, otworzyła mu usta i prysnęła odrobinę na język.

Wtem nagle Godfrey zareagował, oblizwał usta i przełknął.

Zakaszał, zaczął się podnosić, nie otwierając oczu chwycił bukłak i ścisnął go, pijąc więcej i więcej, aż usiadł zupełnie prosto. Z wolna otworzył oczy i wierzchnią stroną dłoni otarł usta. Rozejrzał się dokoła, zdezorientowany, i beknął.

Illepra wydała z siebie okrzyk radości, pochylając się i ściskając go.

– Przeżyłeś! – wykrzyknęła.

Reece odetchnął z ulgą, gdy jego brat rozejrzał się, skołowany, lecz z całą pewnością żywy.

Elden i Serna schwycili Godfreya pod pachy i postavili go na nogi. Godfrey stanął, z początku chwiejnie, i pociągnął jeszcze jeden duży łyk z bukłaku. Otarł usta wierzchnią stroną dłoni.

Godfrey rozejrzał się zapuchniętymi oczyma.

– Gdzie jestem? – spytał. Uniósł dłoń i potarł się po głowie, na której wyrósł ogromny guz. Zmrużył oczy z bólu.

Illepra przyjrzała się ranie wprawnym okiem, przesuwając dłonią po niej i po zakrzepłej w jego włosach krwi.

– Zostałeś raniony – powiedziała. – Lecz możesz być dumny: żyjesz. Jesteś bezpieczny.

Godfrey zachwiał się i pozostali podtrzymali go.

– To nic poważnego – rzekła, przyglądając się ranie. – Lecz potrzebny ci jest odpoczynek.

Wyciągnęła z zatkniętej u pasa torby bandaż i owinęła nim kilkakrotnie jego głowę. Godfrey skrzywił się i spojrzał na nią, po czym rozejrzał się i przyjrzał trupom. Jego oczy rozwarły się szeroko.

– Żyję – powiedział. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Udało ci się – powiedział Reece, chwytając z radością ramię starszego brata. – Wiedziałem, że tak będzie.

Illepra objęła go, przytulając mocno, a Godfrey niepewnie odwzajemnił uścisk.

– Więc to tak czują się bohaterowie – zauważył Godfrey, a reszta roześmiała się. – Dajcie mi więcej takiego trunku – dodał. – A może takie zachowanie wejdzie mi w krew.

Godfrey upił kolejny łyk wina i w końcu ruszył z nimi. Zarzucił jedno ramię na szyję Illepry i wsparł się na niej, a ona pomagała mu utrzymać równowagę.

– Co z pozostałymi? – spytał Godfrey.

– Nie wiemy – rzekł Reece. – Mam nadzieję, że są gdzieś na zachodzie. Tam zmierzamy. Idziemy ku Królewskiemu Dworowi. By przekonać się, kto przeżył.

Wypowiedziawszy te słowa, Reece przełknął ślinę. Spojrzał w dal i modlił się, by jego ziomków spotkał los taki, jak Godfreya. Pomyślał o Thorze, o swej siostrze Gwendolyn, swym bracie Kendricku, o tak wielu innych, których kochał. Wiedział jednak, że większość imperialnej armii znajdowała się wciąż przed nimi i sądząc po ilości martwych i ranionych, których już widział, miał złe przeczucie, że najgorsze było dopiero przed nimi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Thorgrin, Kendrick, Erec, Srog i Bronson stali w jednej linii naprzeciw imperialnej armii, a ich ludzie za nimi, z dobytymi mieczami, gotując się na atak Imperium. Thor wiedział, iż ta szarża zakończy się jego śmiercią, iż będzie to ostatnia jego bitwa w życiu, a jednak nie żałował niczego. Zginie tutaj, mierząc się z wrogiem, w walce z mieczem w dłoni, z towarzyszami broni u boku, broniąc swych ziem ojczystych. Otrzyma szansę, by zadośćuczynić za krzywdy, które wyrządził, za to, że stanął naprzeciw swych ludzi w bitwie. Niczego więcej nie pragnął.

Thor pomyślał o Gwendolyn i jedynie przez wzgląd na nią zapragnął spędzić więcej czasu na tym świecie. Modlił się, by Steffen przeprowadził ją bezpiecznie przez bitwę i by była bezpieczna tam, na tyłach. Był zdecydowany włożyć w walkę wszystkie swe siły, uśmiercić tylu imperialnych, ilu mógł, byle tylko powstrzymać ich przed wyrządzeniem jej krzywdy.

Stojąc u ich boku, Thor czuł solidarność swych braci. Nie bali się, trwając dzielnie na pozycjach. Ani jeden z nich się nie cofnął. Byli to najświetniejsi mężowie w królestwie, najświetniejsi rycerze Gwardii, MacGilów, silesian – i wszyscy stali jak jeden, żaden z nich nie wycofywał się w strachu, choć wszystko wskazywało na to, że poniosą klęskę. Każdy z nich przygotowany był oddać życie, by bronić ojczyzny. Honor i wolność cenili ponad życie.

Thor usłyszał rozbrzmiewające wzdłuż szeregów imperialnych rogi i widział, jak niezliczone oddziały ich ludzi ustawiają się w równych jednostkach. Stawał naprzeciw zdyscyplinowanych żołnierzy, dowodzonych przez bezlitosnych dowódców, którzy toczyli boje całe swe życie. Była to dobrze naoliwiona machina, wyćwiczona, by działać nawet po śmierci przywódcy. Nowy, bezimienny dowódca Imperium wystąpił naprzód i objął dowodzenie. Żołnierzy imperialnych było wielu, nieskończenie wielu, i Thor wiedział, iż nie pokona ich z pomocą garstki wojowników. Lecz to nie miało już znaczenia. Nie miało znaczenia, czy zginą. Liczyło się jedynie to, *jak* zginą. Zginą w walce, jak mężczyźni, w ostatecznym uderzeniu, które przyniesie im chwałę.

– Zaczekamy aż podejdą? – spytał Erec głośno. – Czy też zaserwujemy im powitanie MacGilów?

Thor uśmiechnął się, podobnie jak pozostali. Nic nie mogło równać się z szarżą mniejszej armii na większą. Było to czyn nierozważny, lecz zarazem przejaw największej odwagi.

Nagle, niczym jeden mąż, Thor i jego ludzie wydali z siebie okrzyk bitewny i natarli. Puścili się biegiem, szybko pokonując odległość dzielącą ich od wrogiej armii. Ich okrzyki bitewne niesły się w powietrzu, a ich ludzie ruszyli zaraz za nimi. Thor trzymał miecz wysoko, biegnąc obok swych braci, serce waliło mu jak młotem, a zimny podmuch wiatru muskał twarz. Tak smakowała bitwa. Przypominał sobie, jakie to uczucie być żywym.

Dwie armie przypuściły szarżę, pędziły tak szybko, jak tylko potrafiły, by zabić przeciwnika. Po chwili zetknęli się pośrodku z ogromnym szczękiem oręża.

Thor ciął na wszystkie strony, rzuciwszy się w pierwszy rząd żołnierzy imperialnych, którzy dzierżyli długie włócznie, piki i lance. Przeciął w pół pierwszą pikę, która się ku niemu zbliżała, a dzierzącego ją żołnierza dźgnął w brzuch.

Thor robił uniki i lawirował pomiędzy wieloma lancami, które zmierzały w jego kierunku; siekł mieczem, zamachując się na wszystkie strony. Przecinał wszystkie bronie w pół, aż wokoło roznosiły się trzaski, i kopał i uderzał łokciem każdego żołnierza, który stanął mu na drodze. Kilku kolejnych zdzielił wierzchnią stroną rękawicy, innego kopnął w krocze, jeszcze innego uderzył łokciem w szczękę, kolejnego staranował głową, a innego dźgnął, obrócił się i ciął kolejnego. Nieopodal leżały baraki, a walcząc wręcz Thor stanowił jednoosobową maszynę, wycinającą sobie drogę przez znacznie silniejszego wroga.

Dokoła niego jego bracia czynili podobnie, walcząc z nieprawdopodobną szybkością, mocą, siłą i duchem, choć wróg miał przewagę liczebną. Rzucali się na znacznie większą armię i cięli przez

rzędy imperialnych ludzi, które zdawały się nie mieć kresu. Ani jeden z nich się nie zawahał, ani jeden nie wycofał.

Tysiące mężczyzn ścierały się ze sobą wokoło Thora, krzyczeli i pojękiwali, walcząc wręcz w tej ogromnej, zaciętej bitwie, bitwie, w której ważyły się losy Kręgu. I pomimo znacznej przewagi liczebnej Imperium, mężowie Kręgu nabierali rozpędu i udawało im się zatrzymywać Imperium, a nawet odpierać ich.

Thor wyrwał kiścień z rąk jednego z imperialnych żołnierzy, kopnął mężczyznę, po czym zamachnął się i uderzył go w bok hełmu. Następnie zakołował bronią wysoko nad głową i powalił kilku kolejnych wojowników. Cisnął kiścieniem w ciżbę i powalił następnych.

Thor uniósł miecz i powrócił do walki wręcz, siekąc na wszystkie strony, aż ręce i ramiona mu omdlały. W pewnej chwili okazał się zbyt wolny i jeden z żołnierzy zbliżył się do niego z uniesionym mieczem; Thor odwrócił się, by się z nim zmierzyć, lecz było już zbyt późno. Przygotował się na spadający w jego kierunku cios i ranę.

Usłyszał warczenie i ujrzał pędzącego obok Krohna, który skoczył w górę i zacisnął szczęki na gardle żołnierza, powalając go na ziemię i ratując Thora.

Minęły już godziny zaciętej walki. Choć z początku Thorowi dodawały sił ich niewielkie zwycięstwa, szybko stało się jasne, iż walczący na próżno, odwołując jedynie to, co nieuniknione. Bez względu na to, jak wielu z nich zabili, na widnokręgu pojawiał się wciąż kolejny szereg mężczyzn. I gdy Thor i jego ludzie poczynali się męczyć, ludzie Imperium byli dziarscy, i napływało ich coraz więcej i więcej.

Thor, utraciwszy prędkość i nie parując tak szybko jak uprzednio, został nagle cięty w ramię mieczem; wykrzyknął z bólu, a z rany trysnęła krew. Wtedy któryś z żołnierzy zdzielił go łokciem w żebra, a w jego kierunku zbliżył się topór bojowy, który ledwie udało mu się zablokować tarczą. Uniósł ją niemal za późno.

Thor opadał z sił, a gdy powiódł spojrzeniem wokoło, spostrzegł iż inni także słabną. Szala zwycięstwa poczynala przechylać się raz jeszcze; uszu Thora doszły przedśmiertne krzyki zbyt wielu jego ludzi, którzy poczynali padać. Po wielu godzinach walki przegrywali. Niebawem wszystkich ich rozgromią. Thor pomyślał o Gwendolyn i nie przyjął tego do wiadomości.

Odrzucił głowę w górę, ku nieboskłonowi, rozpaczliwie pragnąc przyzwać moce, które jeszcze mu pozostały. Lecz jego druidzka moc nie nadchodziła. Przeczynał, iż wyczerpał go czas spędzony w szeregach Andronicusa i musiał się zregenerować. Spostrzegł Argona na polu bitwy, również nie tak potężnego, jak niegdyś, gdyż jego moce wyczerpały się podczas walki z Rafim. Także Alistair była osłabiona, jej moce wyczerpały się, gdy przywracała przytomność Argonowi. Nie mogli liczyć na innego rodzaju wsparcie. Jedynie siłę swego oręża.

Thor odrzucił głowę w tył, ku nieboskłonowi, i z jego gardła dobył się donośny, rozpaczliwy okrzyk bitewny. Pragnął, by wszystko wyglądało inaczej, by coś się zmieniło.

Proszę, Boże, modlił się. Błagam cię. Ocal dzisiaj nas wszystkich. Zwracam się do ciebie. Nie do człowieka, nie do swych mocy, lecz do ciebie. Daj mi znak twojej mocy.

Wtem nagle, ku zdumieniu Thora, powietrze przeszył straszliwy ryk, tak głośny, iż zdawał się rozdzierać nieboskłon na dwoje.

Serce Thora przyspieszyło, gdyż natychmiast rozpoznał ten odgłos. Spojrzał w stronę widnokręgu i ujrzał wyłaniającą się zza chmur swą dawną przyjaciółkę, Mycoples. Thor był zaszokowany i nie posiadał się z radości, iż żyła, była wolna i z powrotem tutaj, w Kręgu, lecąc ku niemu. Miał wrażenie, że odzyskał część samego siebie.

Bardziej zaskoczyło go jednak to, iż u jej boku ujrzał drugiego smoka, samca o pradawnych, spłowiałych czerwonych łuskach i ogromnych, połyskujących zielonych ślepiach, wyglądającego na bardziej jeszcze gwałtownego niż Mycoples. Thor patrzył, jak smoki unoszą się w powietrzu, kołując, i rzucają się w dół, wprost na niego. Pojął wtedy, iż jego modlitwy zostały wysłuchane.

Mycoples uniosła skrzydła, wygięła szyję w pałąk i ryknęła, podobnie jak lecący obok niej smok. Obydwa ziały strumieniem ognia w imperialną armię, rozplamienając niebo. Chłodny dzień nagle przemienił się w ciepły, a następnie w upalny, gdy zbliżały się ku nim ściany ognia. Thor osłonił twarz rękoma.

Smoki atakowały tylne szeregi, więc płomienie nie docierały aż do Thora. Ściana ognia była jednakże wystarczająco blisko, by poczuł jej żar i by włoski na jego przedramieniu przypaliły się.

Krzyki tysięcy mężczyzn wzbity się ku niebu, gdy armia Imperium oddział za oddziałem stawała w ogniu. Dziesiątki tysięcy żołnierzy wrzeszczały w niebogłose. Biegali w tę i we w tę – lecz nie mieli dokąd uciec. Smoki nie znały litości. Niszczyły wszystko, miotane wściekłością, gotowe wziąć odwet na Imperium.

Kolejne oddziały Imperium osuwały się na ziemię martwe.

Pozostali żołnierze mierzący się z Thorem odwrócili się, zdjęci paniką, i uciekali, usiłując umknąć smokom, które przecinały niebo wzdłuż i wszerz, plując dokoła ogniem. Lecz biegli jedynie ku swej śmierci, gdyż smoki obierały cel i wykańczały ich jednego za drugim.

Wkrótce Thor spostrzegł, że stoi przed pustym polem, kłębami czarnego dymu, a powietrze wypełnia swąd palonych ciał, smoczego oddechu i siarki. Gdy kłęby uniosły się, jego oczom ukazały się zwęglone ziemie. Ani jeden z mężczyzn nie pozostał przy życiu, a po trawie i wszystkich drzewach ostały się jedynie czern i popiół. Armia imperialna, tak niepokromiona jeszcze kilka chwil wcześniej, teraz zniknęła zupełnie.

Thor stał bez ruchu, zaszokowany i uradowany. Przeżyje. Wszyscy przeżyją. Krąg jest wolny. Wreszcie są wolni.

Mycoples dała nura i wylądowała przed Thorem, opuszczając łeb i prychając.

Thor podszedł do swej starej przyjaciółki, uśmiechając się, a Mycoples opuściła łeb aż do ziemi, mrucząc. Thor pogładził łuski na jej pysku, a ona nachyliła się i potarła nosem o jego pierś, muskając pyskiem jego ciało. Mruczała z zadowoleniem i była wyraźnie uradowana na widok Thora – równie uradowana, co on widząc ją.

Thor wspiął się na grzbiet smoczycy. Stanąwszy tam zwrócił się do swej armii, tysięcy wojowników przypatrujących mu się z podziwem i radością, i uniośł miecz.

Mężczyźni unieśli swe miecze i zawiwatowali. Nieboskłon wreszcie wypełnił się zwycięskimi okrzykami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gwendolyn stała, patrząc na stojącego na grzbiecie Mycoples Thora i serce jej wezbrało ulgą i dumą. Przedarła się z powrotem przez ciżbę żołnierzy, na powrót w pierwsze szeregi, odrzuciwszy ochronę Steffena i reszty. Przepchnęła się na plac i stanęła przed Thorem. Z oczu popłynęły jej łzy radości, gdy rozejrzała się i spostrzegła, że Imperium jest pokonane, wszystkie zagrożenia w końcu zniknęły, a Thor, jej ukochany, żyje i jest bezpieczny. Czuła, że odniosła zwycięstwo. Miała wrażenie, że mrok i żal osnuwające ostatnie kilka miesięcy wreszcie znikają, poczuła, iż Krąg wreszcie jest znów bezpieczny. Ogarnęły ją radość i wdzięczność, a Thor spostrzegł ją i w jego błyszczących oczach dostrzegła bezgraniczną miłość.

Gwen już miała ruszyć przed siebie i podejść do niego, gdy nagle powietrze przeciął dźwięk, który zmusił ją, by się odwrócić.

– BRN SONIE! – rozległ się krzyk.

Gwen i pozostali obrócili się i serce jej zamrło z przestachu, gdy ujrzała mężczyznę wyłaniającego się z popiołów po stronie Imperium. Człowiek ten leżał twarzą do ziemi, przysłonięty ciałami żołnierzy imperialnych, a teraz wstał, zrzucając je z siebie i prostując się.

McCloud.

Gwen przeszył dreszcz. Jakimś cudem McCloud przeżył. Kryjąc się tchórzliwie pod ciałami innych, jakimś sposobem przeżył pośród strumienia płomieni. Stanął przed nimi zeszpecony, o oznakowanej twarzy, bez jednego oka, a teraz na wpół sparzony. Jego odzienie wciąż się tliło. Był jednakże wciąż żywy, w dłoni dzierżył miecz i patrzył gniewnie wprost na swego syna, Bronsona.

Gwen poczuła, jak budzi się w niej nieodparta odraza. Stał przed nią mężczyzna, którego nienawidziła każdą cząstką swego jestestwa, mężczyzna z jej koszmarów, tych, które przeżywała na nowo każdej nocy, mężczyzna, który dopuścił się ataku na niej. Przez wszystkie te dni niczego nie pragnęła bardziej, niż ujrzeć go martwym.

Oto stał przed nimi w całej swej okazałości, wysoki i potężny, niczym koszmar przywołany do życia, jedyny ocalały z pożogi.

– BRN SONIE! – wrzasnął ponownie McCloud, wychodząc na plac.

Bronson zareagował na wołanie: wystąpił naprzód po stronie MacGilów z mieczem w dłoni, gotów spotkać się ze swym ojcem w ostatniej bitwie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.